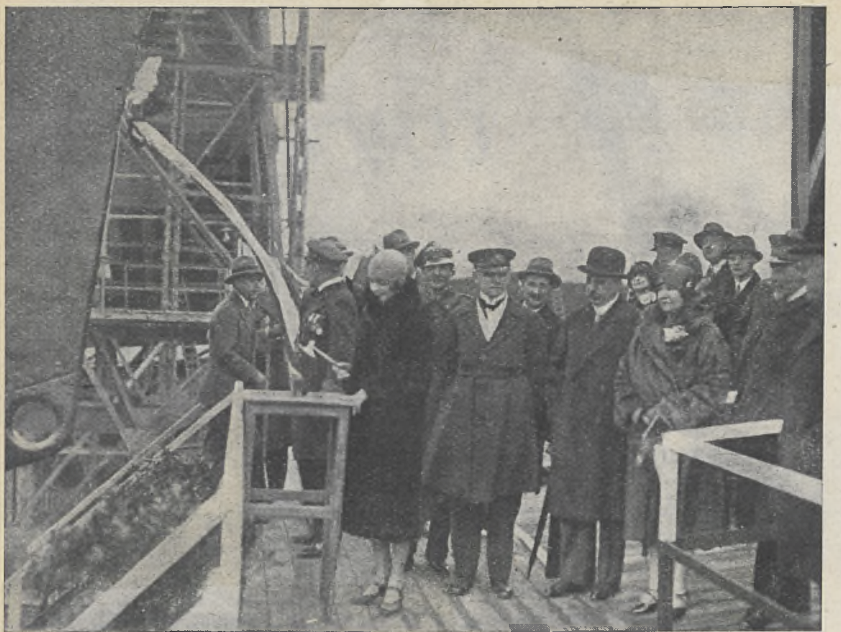
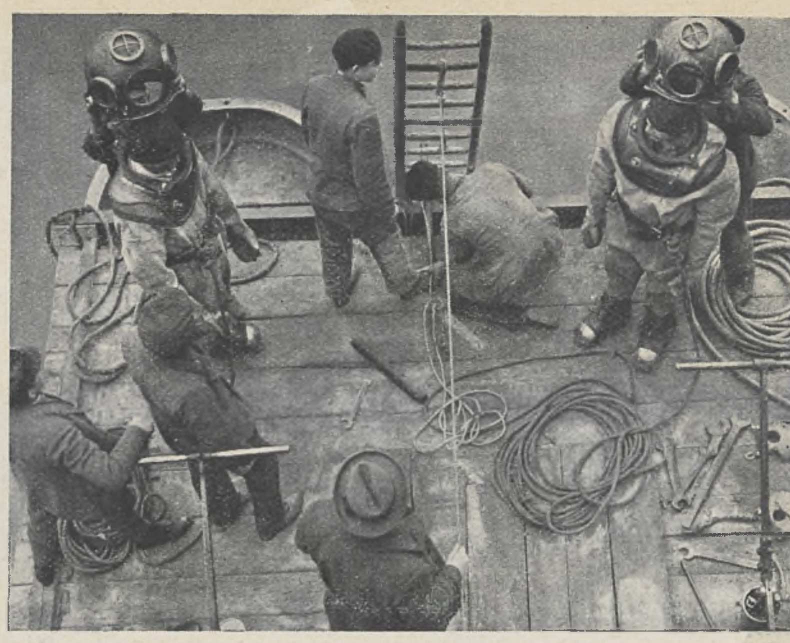
ROK II. Nr. 25 (74) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 22 czerwca 1930



ROZPOCZYNAMY KONKURS... (Szczegóły w numerze). (fot. Dorys.)



Moment spuszczenia na wodę O. R. P. „Wicher“.



Dzielni polscy nurkowie nieustannie ćwiczą się pod wodą.

Odrodzenie „armaty wodnej“

„Początek rozbudowy polskiej floty wojennej jest najlepszą rękojmią rozwoju mocarstwowego Polski i kwitnącej pomyślności narodu“.

Słowa te, wypowiedziane przez Pierwszego Marszałka Polski, z okazji spuszczenia na wodę pierwszego polskiego nowoczesnego okrętu wojennego — kontrtorpedowca „Wicher“ — zawierają głęboką prawdę. Niestety, nie wszyscy chcą je należycie zrozumieć.

Utarło się u nas mniemanie, że posiadając małe wybrzeże, nie potrzebujemy floty wojennej. Że będąc państwem nawskroś lądowem — nie mamy poco prowadzić polityki morskiej. Że gdybyśmy nawet flotę budowali, to i tak będziemy zawsze słabsi od naszych, wrogo dla nas usposobionych sąsiadów.

Obojętność społeczeństwa dla spraw morskich, która w „złotym wieku“ Polski przyczyniła się z początku do osłabienia jej znaczenia politycznego, a potem do upadku i niewoli, dziś powoli ustępuje. Ale zainteresowanie to wciąż jest jeszcze platoniczno-sentymentalne. Gdyby nie inicjatywa rządu, zapewne do dziś dnia nie mielibyśmy nawet floty handlowej.

Ta ostatnia rozwija się obecnie, wbrew proroctwom pesymistów, bardzo pomyślnie. Natomiast dla floty wojennej robi się mało, prawie nic.

A tymczasem niema państwa z dostępem do morza bez floty wojennej, tak jak niema miasta bez straży pożarnej, a kraju bez policji. Powiecie, że Belgja obchodzi się doskonale bez floty, — ale leży ona w orbicie wpływów Wielkiej Brytanji i pod okiem przyjaznej Francji. Powiecie, że Danja czy Norwegja posiadają floty słabe, — ale kraje te oddawna należą do „obustronnie neutralnych“ i nikt na ich wolność nie czyha. Siła zbrojna na morzu nie jest zależna ani od długości wybrzeża, ani od liczebności floty handlowej. Czynnikiem decydującym są tu interesy Narodu. Każdy kraj winien posiadać taką flotę, jakiej wymaga jego polityka — powiedział niedawno francuski minister marynarki. A kraj bez „wolności morskiej“ skazany jest na wegetację i łaskę lub niełaskę sąsiadów.



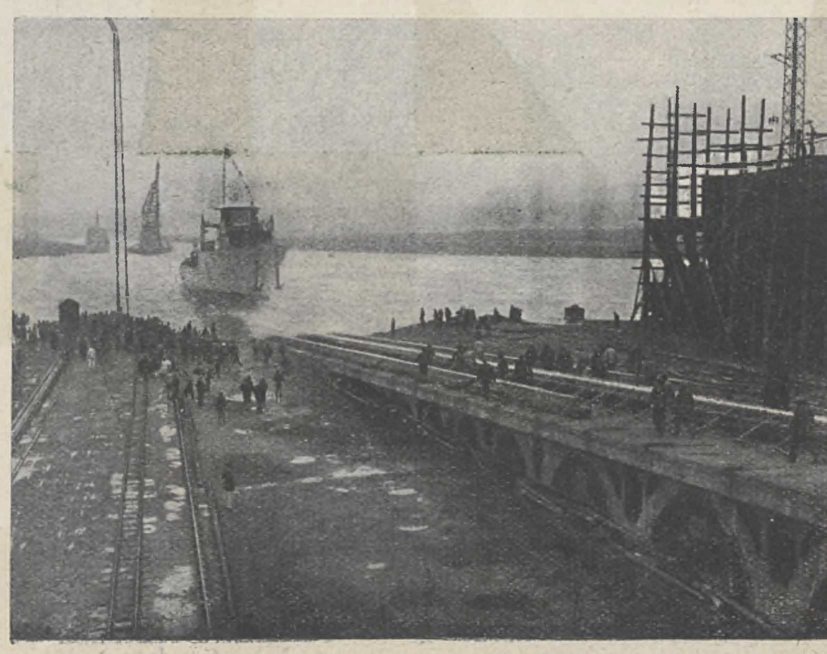
Na torpedowcu „Ślązak“, żółw „Maciuś“ towarzyszy oficerom w ich codziennych zajęciach.

Marynarka wojenna nie jest też organem nieprodukcyjnym w czasie pokoju. Przedewszystkiem szkoli liczne zastępy młodych ludzi, daje im zdrowie ducha i ciała, ukazuje drogę na świat szeroki, daje rzemiosło do ręki, boć przecież każdy marynarz musi dziś być specjalistą. Dalej w stoczniach i arsenałach zatrudnia setki robotników. (Gdybyśmy posiedli własne stocznie wojenne, nie byłoby bezrobocia, a podniósłby się nietylko bezpośredni przemysł okrętowy, ale także cały szereg gałęzi przemysłu — hutnictwo, metalurgja, i t. d., z przemysłem tym związanych). Potem ukazuje światu naszą banderę (najlepszy środek propagandy), toruje drogę okrętom handlowym, zdobywa dla nich nowe rynki zbytu, wzmacnia zaufanie do państwa w obcych krajach, a co zatem, polepsza warunki ekonomiczne wewnątrz. Pozwala też na zawieranie korzystnych przymierzy, działa hamująco na wrogie zakusy, jest najwidoczniejszym czynnikiem siły i suwerenności państwa. Wreszcie, w razie wojny, daje racjonalną obronę granic i komunikacji morskich, czego ani lotnictwo, ani baterje nadbrzeżne uczynić nie są w stanie.

Obawa, że w zbrojeniach morskich nie sprostamy nigdy naszym sąsiadom, jest też płonną. Na morzu nie koniecznie wygrywa silniejszy. Ani Nelson pod Trafalgarem, Ani Tegetthof pod Lissą, ani Scheer pod Jutlandem nie byli silniejsi od swych przeciwników. A jednak zwyciężyli. Zresztą nie o rezultat bitew tu chodzi. Chodzi o to, że flota wojenna przez samą



Oficerowie duńscy na torpedowcu „Kujawiak“.



Kontrtorpedowiec „Wicher“ po opuszczeniu suchego doku.

obecność działa już hamująco na zapały wojenne ewentualnego przeciwnika. Namyśli się dwa razy, kto zaatakuje państwo, posiadające słabą, ale sprawną i dobrze uzbrojoną flotę.

W chwili, gdy piszemy te słowa, wspomniany wyżej kontrtorpedowiec „Wicher" jest już zapewne w drodze do kraju. Dzień jego przybycia winien być świętem całej Polski. Albowiem przybycie „Wichra" stanowić będzie epokę w poczynaniach mocarstwowych naszej ojczyzny, będzie silnem ogniwem na drodze do ugruntowania naszej państwowości i dobrobytu narodowego.

Wślad za „Wichrem" przyjdą niebawem siostrzana „Burza" i łodzie podwodne „Wilk" i „Ryś". Trzecia — „Żbik" zostaje spuszczona na wodę w tych dniach. Nadto z jednostek istniejących, „Iskra" jest w drodze do Ameryki, „Wilja" we Francji (niebawem zamieścimy opis jej podróży), a torpedowce i trawlery ćwiczą raźno na Bałtyku.

Cały ten wysiłek będzie jednak zmarnowany jeśli nie zdobędziemy się na dalszą programową i systematyczną działalność. Nie buduje się floty doryczwo, prowizorycznie. By „armata morska" Polski naprawdę powstała, trzeba całych lat usilnej, programowej, systematycznej pracy. Trzeba uchwały sejmowej i odpowiedniej ustawy o rozbudowie marynarki wojennej. Trzeba obliczonego na lat piętnaście z góry, programu konstrukcyjnego. Inaczej posiadane jednostki zestarzeją się zanim posiądziemy nowe. Flota składać się będzie z okrętów najróżnorodniejszej wartości (przyczyny porażki rosyjskiej w wojnie z Japonją) i nigdy nie dojdziemy do posiadania takiej siły morskiej, jakiej wymagają interesy i bezpieczeństwo kraju.

Pamiętajmy też, że nasi zachodni sąsiedzi z podziwu godną energją odbudowują swą flotę, twierdząc otwarcie, że wyloty jej dział zwrócone są na Gdynię i polskie wybrzeże. I że zachłanność strony agresywnej wynika zawsze z braku zabezpieczenia się strony napastowanej.

A jeżeli flota wojenna jest rzeczą bardzo kosztowną, to powiedzmy sobie, że przegrana wojna, czy utrata dostępu do morza, mogą nas kosztować stokroć więcej.

Kapitan Nemo.

Czy wiecie że...

...największym cudem, jaki w Polsce mógł się zjawić, cudem, o którym od wieków śnili poeci i pisarze, historycy i mężowie stanu — jest fakt, iż cały naród, bez różnicy partyj i koteryj, wyznań, niechęci i przeciwieństw, frontem zwrócił się ku własnemu morzu. I poczęto tworzyć w pełnej harmonji, w zespoleniu wszystkich wysiłków wielkie dzieło — ugruntowania mocarstwowego Polski nad brzegami Bałtyku.

Czy wiecie, że wyniki pracy, podjętej w takim duchu, nie dają długo na siebie czekać. Oto weźmy naprzykład, cyfry wywozu towarów przez Gdańsk, Gdynię i Tczew:

1924 r.	— 1.646 tonn
1925 „	— 2.082 „
1926 „	— 6.160 „
1927 „	— 7.413 „
1928 „	— 8.513 „
1929 „	—10.000 „

Czy wiecie, że to szalone tempo pracy nad polskiem morzem wywołało żywiołowy pęd w kierunku zakładania całego szeregu przedsiębiorstw, które skoncentrowały się głównie w Gdyni. I oto znów cyfry, dotyczące naszego młodego miasta portowego:

W r. 1924	przeds. przem.	3,	handl.	8
„ 1925	„ „	4,	„	13
„ 1926	„ „	6,	„	24
„ 1927	„ „	17,	„	43
„ 1928	„ „	80,	„	92
„ 1929	„ „	172,	„	177

Czy wiecie, że wartość statków handlowych, znajdujących się w rękach polskich, wynosi 10 milj. złotych, a wartość gmachów prywatnych, wybudowanych w jednej Gdyni — 11 milj. złotych.

Czy wiecie, że o ile w Gdyni przed paroma laty liczono zaledwie 18 domów mieszkalnych (72 pokojów), to zdołano wybudować do r. 1928 — 93 domy, zawierające 1900 pokojów, a preliminarz inwestycyj miejskich w r. ub. wynosił 20 milj. zł.

Czy wiecie wreszcie, że ludność Gdyni wzrosła w okresie 2-ch ostatnich lat z 13.780 mieszk. do 31.692 mieszkańców...

Wyniki te są doprawdy imponujące i radzimy każdemu, kto w ciężkim znoju codziennej walki o byt pozwala się opanować zwątpieniu — niechaj jedzie nad polskie morze, gdzie w zawrotnem tempie i bez wytchnienia utrwalamy znaczenie naszego na wodach świata i powiększamy największy skarb, jaki mieć powinniśmy — skarb duchą naszego.

Po wizycie min. Grandiego w Polsce

Zapewniono nas ze sfer urzędowych, iż wizycie min. Grandiego w Polsce nie należy przypisywać znaczenia politycznego. Kurtuzja — rewizyta i tyle. Takiego samego zdania są leaderzy europejskiej prasy politycznej — z redakcją „Temps" na czele, tak samo i u nas komentowano ten wypadek.

I lepiej z pewnością stało się, że poza wymianą serdecznych słów przyjaźni, słów nacechowanych — jak na dyplomatów — naturalną, spontaniczną szczerością, nie poruszano żadnych spraw, związanych z polityką, a tem samem i z t. zw. formułami, które doprawdy — zwłaszcza w ostatnich czasach — najtrzeźwiejszego nawet męża stanu mogą przyprawić o zawrót głowy. Mamy tu na myśli publiczne enuncjacje Mussoliniego i miłego gościa naszego, min. Grandiego, oraz memorjał Brianda, które nie mało wrzawy obudziły na całym świecie.

Gwarancje, bezpieczeństwo, arbitraż, rozbrojenie — w tym czy innym aplikowane porządku, unje państw europejskich, cały stek skomplikowanych formuł z powoływaniem się na niemniej zawiłe artykuły traktatów — a wszystko razem wziąwszy: słowa, słowa i słowa.

Czy nie lepiej przemawiać do siebie językiem prostym, szczerym, operować kategorjami pojęć,



Pan Prezydent Rzeczypospolitej przyjął na audjencji Ministra Spraw Zagranicznych Dino Grandi, któremu towarzyszyli p. minister Zaleski, oraz ambasador Italji p. Martin Franklin. (P. A. T.)



Minister Dino Grandi przemawia na poświęceniu włoskiego cmentarza wojskowego pod Bielanami. (P. A. T.)

których żadne umowy nie zmienią — słowami płynącemi z głębi serca, ożywionego miłością dla własnej Ojczyzny i szacunkiem dla tych, co Ojczyznę swą stawiają na najwyższym piedestale.

Podobnemi słowami przemawiał min. Grandi, składając pod Bielanami hołd dla bohaterów, co życie swe złożyli na ołtarzu Sprawy — w boju... „Żadna inna więź wśród narodów — mówił — nie jest bardziej głęboka od tego, co przypieczętowane jest bohaterstwem poległych, za wielką wspólną sprawę. Umrzeć za Polskę i umrzeć za Italję było dla naszych i waszych żołnierzy jak gdyby obowiązkiem, spełnionym dla tej samej Ojczyzny... Nierozerwalne były te więzy w przeszłości, nierozerwalne będą w przyszłości. Polska już zbawiała w ubiegłych wiekach Europę, nie żądając wzamian nic więcej ponad święte prawo do swej jedności oraz własnej wolności i prawo wszystkich swoich synów, aby byli zjednoczonymi dokoła wspólnej Matki... Gdy podziwiałem zbliska waszą armję, jej zachowanie szlachetne i dumne, ożywione poczuciem głębokiego obowiązku i przywiązania dla wielkiej Ojczyzny Polskiej... serce moje odczuło, że Polska jest istotnie godna swej wielkiej chwalebnej tradycji...".



Z „czarnemi koszulami" włoskiemi w Warszawie, zebranemi na dworcu pod przewodnictwem p. Menotti Corvi, p. minister Grandi przywitał się według formuły faszystowskiej. (Photoplat.)



Karta tytułowa „Psalterza".

WIKTOR PRZECŁAWSKI.

To, co nie przemija

Zdawałoby się, że w dzisiejszym pędzie współczesnego życia, uznającego przedewszystkiem aktualność i odznaczającego się bałwochwalczym i niemal ślepym kultem jakoby wszystko zdobywającego złota, niema już miejsca na wieczne wartości, stworzone w porywie, w natchnieniu i wśród niezmiernego trudu, poświęconego służbie Wiecznemu Pięknu. Na szczęście, tak nie jest. Pozór nas tylko łudzi błyszczący i głośny, energicznie i bez skrupułów wydobywający się na powierzchnię bytu, i wrzawą swą chaotyczną zagłuszający głos i odezwy tych spraw, które się nie reklamują. Ale są. Trwają i tak, jak przetrwały już niejedną burzę, niejedną klęskę i, co najważniejsze, *niejedno przemilczenie,* przetrwają z pewnością i dzisiejszy krzykliwo - jaskrawy chaos powojenny, tak chętnie przekreślający istotne wartości duchowe przeszłości, a tak mało wnoszący do skarbnicy duchowej teraźniejszości i przyszłości.

„Promień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało!"

Ale my przecież jesteśmy dziś narodem nietylko kulturalnym, ale posiadającym za sobą długowieczną już przeszłość, bogatą i świetną, która tworzy nasze podstawy duchowego bytu, i z której czerpać możemy, chciałoby się rzec, bez miary. Przeszłość ta istnieje równie realnie, jak np. nowa stacja radjowa lub „współcześnie ozdobione" dancingi, a że z jej wartości i zasobów korzysta dziś tylko znikomy procent tych, którzy korzystać z nich powinni, to w niczem przecież nie umniejsza ich wartości, no, i nie przemawia, oczywiście na chwałę dancingów. Mieczowi złodzieje dzisiaj nam nie grożą, bibljoteki dobrze są przed ogniem chronione, — a ci bezkarni złodzieje (mózgowo - sercowe chamy — w nawiasach, choć dziś wyrażenia mocne są bardzo modne) kradnący ludziom poważny światopogląd, czas i możność poznania lepszych i głębszych wartości są tylko... smutną koniecznością, błotnistym wykwitem krwawej wojny — i rychło przeminąć muszą, zapadną niepostrzeżenie w mrok zupełnej niepamięci, podczas gdy *to, co nie przemija,* zabłyśnie znowu chwałą i nowe zrodzi wartościowe dzieła.

*

Piszemy to wszystko nie dlatego, aby bezcelowo narzekać na dancingowo - kinematograficzno - sensacyjną współczesność, ale aby ci nieliczni czytelnicy, którzy artykuł ten w całości przeczytają, uświadomili sobie dokładnie, dlaczego dziś wszelkie poczynania i uroczystości, poświęcone poważnym wartościom przeszłości tak mało znajdują echa, dlaczego tak rzadko nadarza się sposobność pisania o nich i otwierania drzwi, właściwie otwartych, lecz, niestety, takich, w które mało kto chce dzisiaj wchodzić. W takie właśnie drzwi chcę dzisiaj wprowadzić czytelnika. Ostrzegam, że przekroczywszy próg, nie ujrzy żadnej sensacji, nie zapozna się z żadnym naszym krzykiem mody, lecz przypomni sobie rzecz cenną i miłą, piękną wzruszającą, o której może już bardzo dawno zapomniał i która go, zapewne, nie wiele dziś obchodzi. A jednak — piękna czytelniczko i miły czytelniku — śmiem twierdzić, że powinno Was to obchodzić, i że Wam to moje przypomnienie nic nie zaszkodzi. A może nawet niejeden z Was sięgnie po cudowne „Treny", lub do łez się uśmieje nad niezrównanemi „Fraszkami", i przyzna w duchu, że poezja Kochanowskiego to czyste, świeże, dziwnie świeże źr:dło, z którego już nie może (i nie umie) tylko ten, który ma już zupełnie „przepite" gardło. Nie będę zresztą zanudzał „rozbiorem dzieł", ani nikomu niepotrzebnemi datami. Nie piszę tego artykułu jako historyk literatury. Ot, chcę Wam poprostu przypomnieć dostojną postać tego, który poezję naszą do życia powołał, i którego dziś prawdziwie kulturalny świat polski czci godnie i uroczyście. O Kochanowskim zresztą zapomnieć nie można. To nie jest ktoś, kogo znają tylko historycy literatury, to jest ten potężny i nieprzemożony, który własną siłą przetrwał wieki, i którego dzieła wzruszają szczerze jeszcze dziś, choć na nich pył już czterowiekowy spoczywa. Odrzućcie śmiało ten ułudny pył. Oczu Wam nie zaprószy, bez śladu się rozwieje — i nagle błysną przed Wami niefałszowane łzy uczucia, wzruszeń i uniesień, cudowne perły słów, i żywe, skrzące jak iskry, kaskady zdrowego, niewyrafinowanego humoru. Bo czytając dzieła Mistrza z Czarnolasu nietylko jesteście u źródeł polskości i najszczerszej, najczystszej poezji — nietylko! Obcujecie także z mężem światłym, z humanistą pierwszorzędnym, który umie nauczać nie nudząc, i który o najgłębszych i najistotnieiszych wartościach ducha mówi z prostotą i swobodą, cechującą wyłącznie umysły genjalne, a nie znające ani pychy, ani sztucznej tajemniczości. Prądy, wielkie prawdy duchowe, których nieprzemijającą wartość do dziś dnia wykorzystujemy, podał nam tak, jakby je z powietrza lekką uchwycił ręką, a nie zdobył drogą twórczych wysiłków i twórczych, utrudzających uniesień. Myślom zaś swoim, przeżyciom i zainteresowaniom potrafił nadać taką barwę i formę, których nie zatuszowały i nie pogięły wieki. Ten niegdyś już żyjący człowiek pozostał żywym. Interesuje. Nawet pomijając wszelkie jego wartości i znaczenie specjalne dla Polski — interesuje jako człowiek, jako twórca, jako niezależny, natchniony pieśniarz, który poznawszy bardzo wiele i mając bardzo szerokie zainteresowania, nie stał się jednak przedstawicielem żadnej „szkoły", ani też wyrazicielem żadnego wyłącznie „prądu", lecz reprezentował przedewszystkiem własną duszę, własny wysiłek twórczy, stając się przez to godnym ambasadorem duchowej Polski. Rozrósł się bujnie i potężnie niby dąb śródleśny, rozwinął swe korony ponad szczyty innych drzew i w naszem pojęciu ludzkiem stał się drzewem wiecznem, w cieniu którego niejedna piękna sprawa pomyślnie przetrwała.



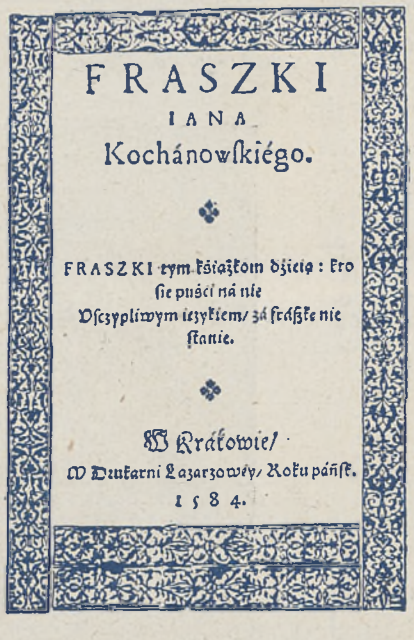
Okładka książki p. t. „Odprawa Posłów Greckich".

*

Kochanowski przez to nas właśnie tak bardzo interesuje, że zawsze umiał być sobą i nigdy nie był sztucznym, czy nieszczerym. Jest postacią bezwzględnie wyjątkową, a choć dzieł jego nie możemy wywyższyć ponad przodujące dzieła XVI w. (że wspomnimy dzieła Ariosta, Tassa, Cervantesa) przecież znaczenie jego w ogólnym dorobku kultury europejskiej należą do pierwszorzędnych. Będąc bowiem zawsze sobą — potrafił jednak zdobycze Zachodu zużytkować w Polsce, i wartość kulturalną swej ojczyzny podnieść na zachodni poziom. Jeśli weźmiecie do ręki jego słynne „Fraszki" będziecie mieć do czynienia nie z bystrym, dowcipnym spostrzegaczem, lecz z krytykiem łagodnym i dobrotliwym, który umie wywołać salwy wesołego śmiechu, lecz nie umie, nie potrafi poprostu zapomnieć o wytworności, użyć brutalnej złośliwości lub zaprawnego gniewem, czy żądzą zemsty szyderstwa. „Fraszki" te, pyszne w swej formie, dowcipne w pomysłach, będące trwałą pamiątką bujnego, swobodnego życia na dworze Zygmunta Augusta, i dziś czytać można z niesłabnącem zajęciem i niemal bez komentarzy. Tak samo można czytać i „Pieśni", i „Pieśń świętojańską o Sobótce", nieśmiertelne, wstrząsające „Treny", a nawet poważny, dostojny „Psałterz". On-to jest twórcą sonetu w Polsce, on wreszcie, rozmiłowany w starożytnej Grecji, i rozczytujący się namiętnie w dziełach Homera, Eurypidesa i innych, potrafił stworzyć oryginalną „Odprawę posłów greckich",której przepiękne „chóry" należą do pereł poezii naszej.



Karta tytułowa „Satyra".



Karta tytułowa „Fraszek".

I tak — budując dzieła swoje, Kochanowski nietylko wznosił piękne i trwałe pomniki rodzimej literatury, nietylko rozszerzał ogromnie stan posiadania kultury naszej, ale *stwarzał, poprostu powoływał do życia* poezję polską, która od tego czasu zwycięsko trwa i której rola w przełomowych momentach życia narodu była zawsze służbą, poświęconą ofiarnie hasłom Wielkości i najwyższym interesom społeczności. Tu tytuł do jego nieśmiertelnej chwały, tu powód podniosłych uroczystości i niegasnącej pamięci.

*

I aczkolwiek krakowskie i warszawskie obchody, urządzone na cześć piewcy z Czarnolasu, nie obudziły żadnych szerokich ech w kraju, to jednak mieć będą z pewnością swoje pożądane i szlachetne następstwa. Oddając bowiem hołd *temu, co nie przemija,* lecz co ustawicznie odradzając się bez przerwy tworzy wieczne wartości Wiecznego Piękna, dorzucają nowy węgiel do ogniska duchowego życia, bez którego niemasz postępu, i którego zagaszanie znamionuje zawsze upadek i klęskę narodu.

Ręce jako jedyni aktorzy dramatu filmowego

Nie trójkąt klasyczny — a kwadrat: On, Ona, Kurtyzana i Kochanek, których występują na ekranie tylko ręce...

Na dalszym planie, podobnie do statystów na scenie — kilka par rąk, męskich i kobiecych. Film ten p. t. „Hands" (Ręce), zrealizowany przez pp. Stellę Simon i Mikles Bandi, Fraülein Hertha Feist i Herberta Voick był demonstrowany z niemałem powodzenie w londyńskim Film Guild Cinema.

Znamy już filmy dźwiękowe, filmy kolorowe słyszeliśmy o t. zw. „Grandeur filmie", codziennie stykamy się na ekranie z kubizmem, ekspresjonizmem i t. p., powszechny w nas zachwyt budzą firmy marjonetkowe Starewicza — lecz pierwszy raz widzimy ręce i tylko ręce, jako jedynych aktorów sztuki. Eksperyment ten wypadł wszelako zupełnie udatnie. Tak mówią przynajmniej ci, co mieli okazję podziwiać ten film...



Zetknięcie się życia z miłością.



Romans.



Uwodzenie. (na lewo.)

Plotki. (na prawo.)





Widok grobu Proroka w Medynie

EDWARD SZYMAŃSKI.

Do grobu proroka

Co roku, na początku lata, świat muzułmański przeżywa rzecz wielką — świętą pielgrzymkę do Mekki. Od zachodnich wybrzeży Afryki, z głębi Sudanu i Sahary, z Egiptu, Persji, Buchary, z Indji i dalekiej Jawy, ciągną pobożni wyznawcy Allaha do świętego miasta. Prorok Mohammed nakazał bowiem każdemu wiernemu choć raz w życiu znaleźć się w obliczu Kaaby: bez wypełnienia tego obowiązku żaden prawowierny muzułmanin nie chce umierać, a prawowiernych, żarliwych muzułmanów jest więcej, niż połowa z ogólnej liczby 150-ciu przeszło miljonów. Wielki to zaszczyt przywdziać białą szatę pielgrzymią, *ejram*, i wyruszyć w podróż do miejsca, gdzie żył i działał Prorok i wielki to zaszczyt nosić po powrocie tytuł *hadżi*. Tylko ci, którzy zginęli w walce za wiarę, równej czci, zażywają po śmierci, jak „hadżi" za życia. Nic więc dziwnego, że tłumy ogromne ciągną nieraz całemi tygodniami pieszo, na wielbłądach, czy choćby parowcami i koleją w kierunku Mekki, stolicy Hadżasu, państwa w środkowej Arabji. Przed wojną co rok pielgrzymowało w ten sposób przeciętnie 200 tysięcy wyznawców Islamu, a i dziś, mimo niedowiarstwa tureckiego, mimo nowych granic i cięższych warunków, odbywa tę podróż religijną conajmniej kilkadziesiąt tysięcy mahometan rocznie. Istnieją nawet sezonowe linje okrętowe, przewożące wiernych z portów Indji, Jawy, Afryki, do brzegów arabskich. Małe, czarne okręty drewniane, nierzadko żaglowce, na których od kapitana do majtka wszyscy są fanatycznymi muzułmanami, roją się od mężczyzn, kobiet, dzieci, bogaczy i biedaków, dążących do kolebki i grobu Mahometa. Cóż tam za rozmaitość! Wszystkie rasy i wszystkie odcienie opalenizny. Wrzaskliwi, gestykulujący Fellachowie obok smukłych Nubijczyków, Marokańczycy, o ponurych spojrzeniach, ubrani w burnusy, z rewolwerami za pasem, razem z pielgrzymami z Buchary, którzy nawet w straszne upały na Czerwonem Morzu nie rozstają się ze swemi baraniemi kożuchami. Krzyk, wrzask, nieludzki wrzask, jaki tylko na Wschodzie usły szeć można, nie ustaje na chwilę. Zdawałoby się, że to bitwa jakaś, czy conajmniej trzęsienie ziemi, a to tylko zwykła rozmowa kilkudziesięciu spokojnych pielgrzymów. Nic dziwnego—nie brakuje kobiet: są ubrane w jedwab hinduski i bośniacki, obwieszone złotemi, lub srebrnemi monetami i zwykłe, brudne arabki i berberyjki, brzydkie nieraz, jak wiedźmy. Każda wybiera się w podróż z mężczyzną, nigdy sama. Jeżeli nie jedzie z mężem, to z kimś, kto prawnie w podróży uchodzi za małżonka i opiekuje się swą towarzyszką. Nie brak i dzieci, dla których wszędzie i zawsze na świecie podróż jest największą rozkoszą.

Dwa są główne szlaki, któremi dążą podróżni do Mekki, związane z dwiema oficjalnemi pielgrzymkami. Pierwsza wyrusza z Damaszku w Syrji i dąży do świętego miasta olbrzymią karawaną przez pustynie i stepy Nedżidu (Arabji środkowej). Druga w tymże czasie wyrusza z Kairu specjalnym ogromnym pociągiem do Suezu, stamtąd morzem Czerwonem do Dżeddy, portu, położonego nawprost Mekki. Obie niosą tradycyjne dary. Najważniejszy — to olbrzymi dywan wzorzysty, zwany *kessuah*, wykonany częściami przez kilka plemion i zeszyty. Będzie on przykrywał Kaabę, sanktuarjum Islamu. Umieszczony jest w specjalnym palankinie z drogiego materjału, umocowanym na grzbiecie białego wielbłąda *Mahmala*. Z wielką pompą niosą muzułmanie kessuah do Mekki. Corocznie zmienia się go, a stary kraje się na drobne części, które, jako relikwie w swoim rodzaju, rozchwytują między siebie niezliczeni pielgrzymi.

Dżedda w maju to olbrzymie mrowisko, w którem poruszają się tysiące białych postaci, okrytych ejramami. Pielgrzymka też nazywa się Ejram. Dżedda, skromny port, nie bardzo dostępny, z powodu raf koralowych, stała się dzięki pielgrzymkom dużem miastem. Kilkupiętrowe domy w stylu maurytańskim, marokańskim, gdzieniegdzie europejskie, wznoszą się dumnie obok bazarów, typowo arabskich bazarów, zgiełkliwych, bezładnych, rojących się od żebraków. Niewiadomo tylko, czy kupcy bazarowi, czy żebracy są bezczelniejsi. Cena, podana do targu, przewyższa wartość towaru nieraz dwudziestokrotnie. Kupić można wszystko: cenne dywany, garść daktyli, sandały, strzelbę, nowy ejram i figę, dosłownie figę, taką suszoną, do jedzenia.

Ale pielgrzymi kupują coś, dopiero po powrocie z Mekki. Przybywszy do Dżeddy, tłoczą się, kłócą, namyślają, czy pójść pieszo do odległego o 97 km. świętego miasta, czy wynająć *szukduff*. Jest to wielbłąd-dorożka pielgrzymów. Ma przymocowane na grzbiecie siodło podwójne z dachem z liści palmowych od słońca, po jednem siodle z każdej strony. Przeznaczony jest szukduff na dwie osoby: kobietę i jej tytularnego czy prawo-



Kobiety, odbywające pielgrzymkę do Mekki, udają się tam pod opieką mężów. W razie, gdy kobieta jest panną, zawiera prowizoryczny ślub na czas podróży. Tak wymaga Koran.



Podwórce wielkiemo meczetu w Mekce, z czarną Kaabą po środku. W białym budynku z lewej strony mieści się studnia, ze świętą wodą, Zem-zem, w którą zaopatruje się każdy pielgrzym.

witego męża. Samotni mężczyźni wybierają zwykle spacer pieszy, bo jazda szukduffem męczy strasznie z powodu kołysania. Ale jedno jest warte drugiego. Wędruje się z Dżeddv do Mekki tylko nocą, bo za dnia upał jest niemożliwy do zniesienia. I oto pielgrzym, kierujący się przekleństwami poganiaczy wielbłądów w ciemnej czasem nocy, gorzko żałuje, że nie wynajął szukduffa. Po ciemku obija stopy i palce o kamienie, gubi sandały, albo kaleczy nogi i ciemiste zarośla pustyni. Zrzadka tylko na szlaku pielgrzymki widnieją światła zajazdów, gdzie za lichwiarską cenę można napić się kawy i chwilkę wytchnąć na macie.

Ale zato po dwudniowej, a raczej dwunocnej wędrówce staje wreszcie pobożny mahometanin w Mekce. Jeżeli ma dość pieniędzy, udaje się pod opieką cicerona pielgrzymów, *metaueřa*, który pomaga mu radą i baczy, aby przyszły hadżi spełnił wszystkie warunki pielgrzymki. Jeżeli jednak nie ma pieniędzy, ginie bezradny i samotny w ciżbie innych i naraża się na zdeptanie, okradzenie i tułaczkę z kąta w kąt. Jak tu spełnić wszystkie warunki Ejramu?

A jest ich sporo. Pielgrzym musi przedewszystkiem być w Kaabie. Jest to, według podania, ołtarz Abrahama, pierwszy, jaki patrjarcha wystawił Bogu. Jest tam święty kamień, ongiś biały, dziś czarny od pocałunków ust grzesznych, kamień który archanioł Gabrjel przyniósł Abrahamowi na ołtarz. Kaaba jest niewielkim, sześciennym budynkiem, okrytym zwierzchu dywanem, *kessuah*. Szczerozłota rynna odprowadza wodę deszczową z dachu, choć deszcz jest tu rzadkiem błogosławieństwem. Na ścianach marmurowych w Kaabie, bogato ubranych, widnieją wersety z Koranu. Dziwne, że Mekka związana jest w religji mahometańskiej z historją Abrahama. Oto obok Kaaby jest święte źródło, *zemzem*, które, według legendy, wytrysnęło ze skały na rozkaz Boga dla uratowania życia synowi Abrahama, Izraelowi, i matce jego, Hagar, wygnanym przez Abrahama na bezwodną pustynię. Ze źródła zemzem każdy pielgrzym zaczerpuje trochę świeżej wody, do specjalnego bukłaka. Potem musi pielgrzym obejść siedmiokroć Kaabę na pamiątkę błądzenia Hagar z Izmaelem w pustyni, a później odbyć *ssai*. Polega to na siedmiokrotnem przebiegnięciu przestrzeni między wzgórzami Safa i Merna, również na pamiątkę szalonej gonitwy Hagar, szukającej źródła dla napojenia konającego od żaru pustyni Izraela. Można sobie wyobrazić, jaki tłok i rozgardjasz panuje w dniu pielgrzymki na dziedzińcu Kaaby. Ogromne podwórce, długie na dwieście metrów, szerokie na sto pięćdziesiąt, jest literalnie zabrukowane głowami ludzkiemi. Pod arkadami tańczą pobożni derwisze, a handlarze sprzedają białe ejramy, uprane w źródle „zemzem". Fanatyczni i wierni pielgrzymi kupują je, aby po powrocie pochować w nich swych krewnych, którzy umrą, albo dla siebie, na pośmiertną szatę.

To jednak nie koniec obrzędów, związanych z pielgrzymką. Trzeba odwiedzić grób Ewy, naszej biblijnej rodzicielki, który, według Islamu, znajduje się niedaleko od Mekki. Jest to ogromne mauzoleum, niskie, długie na 63 metry; w miejscu, gdzie ma spoczywać głowa Ewy, leży ogromny kamień okrągły, u którego modlą się bezdzietni muzułmanie o potomstwo. Na bronzowej balustradzie wieszają wota: barwne kawałki drogich materji, wstążki i t. d., dzięki czemu miejsce to jest zawsze pięknie ozdobione.

Stąd śpieszą pielgrzymi na górę Arafat, leżącą za miastem. Arafat — znaczy wdzięczność. Tu podobno Adam i Ewa, wygnani z raju, przysięgli sobie żyć razem i tu później urodziła Ewa pierwszego syna. Na górze Arafat jest meczet, z którego prowadzi bardzo wąskie wyjście, mierzące sześć metrów od kolumny do kolumny przy drzwiach. Tłum pielgrzymów musi wyjść jednocześnie i naturalnie nie obywa się nigdy bez uduszenia kogoś, połamania żeber czy zdeptaniu na śmierć. Bywały przed wojną dni, kiedy rozdeptywano dosłownie po trzydzieści i czterdzieści osób dziennie.

Ale to już koniec właściwej pielgrzymki. Teraz należy tylko podjąć z ziemi siedem kamyków i, przechodząc obok wsi Muzdalifah, rzucić na obelisk, jaki tam stoi. Podobno szatan kusił tam kiedyć Abrahama, ten zaś rzucił weń siedem kamyków i w imię Boże kazał odejść precz.

Pielgrzymi obdarci, głodni, zmęczeni do ostatnich granic, wracają do Mekki, aby via Dżedda udać się do rodzinnych stron. I znowu kłócą się o szukdufły, znowu ranią nogi o kamienie, ale choć w czarnych od kurzu ejramach, wracają uśmiechnięci i szczęśliwi. Patrzcie, oto hadżi, oto ten, co był w świętem mieście — będą mówić o nich rodacy.

PITTIGRILLI.

ZŁA DROGA

— Czy jestem punktualna?

— Jak zaćmienie księżyca.

— Wyglądam jak zmokła kura. Chętniebym wróciła do hotelu, aby zostawić okrycie, a włożyć płaszcz nieprzemakalny, ale chciałam być punktualną.

— Nie jest to konieczne, proszę pani.

— Ależ owszem, zwłaszcza kiedy się idzie prosić o posadę.

— O posadę? Proszę, niech pani spocznie. Napewno pani zimno?

— Skądże znowu! W takim owłosieniu, jak moje futro!

— Mogłaby mi go pani użyczyć!

— Ach, ekscelencjo! Po raz pierwszy oglądam ministra w jego własnem biurze. Wydawało mi się dotąd, że dyplomaci go nie mają, i że ich praca polega jedynie na wydawaniu bankietów i uczestniczeniu w bankietach, poczem na kuracji żołądka w miejscowościach kąpielowych.

— Impertynentka! Moja żona często o pani mówi.

— W takim razie uwagi pani ministrowej są nieciekawe. Spotkałam ją na parę dni przed katastrofą, na balu u prezydenta ministrów.

— Miała pani na sobie suknię koloru burzy, przybraną błękitnemi kwiatami i podczas walca nadepnęła mi pani na nogę.

— I nawet się pan nie poskarżył?

— Wielkie cierpienia znosi się w milczeniu. Wspomniała pani o posadzie. Dla kogóż to?

— Dla mnie. Jestem doszczętnie zrujnowana. Jeszcze przed dwoma miesiącami byłam lepszą partją w stolicy. Krach węglowy i samobójstwo mego ojca zrobiły ze mnie nędzarkę, której odebrano wille, pałac i ową stajnię wyścigową, z której słynęłam. Może pan pamięta, że z powodu ilości koni wyścigowych, oraz wielbicieli, nazywano mnie...

— Koni było osiem, a wielbicieli czterdziestu...

— Obecnie konie moje biegają Bóg wie gdzie, a wielbiciele, licho wie za jakiemi amazonkami. Zmuszona jestem mieszkać w nędznym hoteliku, pełnym krzyczących bachorów.

— Ludzkie psie budy.

— Których niecierpię, i chłopaków, którzy zaczynają udawać sprytnych. Można tam dostać torsji z samych nudów. Niema tam ani szczurów hotelowych i ani jednej kobiety ze skandalem, o którym się mówi. Dotąd nie nudziłam się nigdy. Między konną jazdą, flirtem, dobroczynnością i innemi sportami, dnie spływały tak szybko, jakby wszystkie zegary oszalały, na całym świecie. Obecnie stoją one w miejscu. Ażeby je nieco poruszyć, a mówiąc poprostu, ażeby módz egzystować, postanowiłam pracować!

— Cóż za dziwaczny projekt!

— Pragnęłabym znaleźć pracę przyjemną, urozmaiconą.

— Takie nie istnieją. Nawet jeśli najprzyjemniejszą rzecz traktujemy jako pracę, staje się ona piłą. Weźmy naprzykład podróż. Jest ona rozrywką dla turysty, a czemś piekielnie nudnem dla wojażera profesjonalnego. Miłość, która jest najprzyjemniejszem na świecie zajęciem, staje się nudną i męczącą, gdy uczynimy z niej rzemiosło.

— W tym wypadku...

— Ależ wiem, wiem. Przecież pani nie ma zamiaru wstąpić na tę drogę.

— Nawet nie mam do tego odpowiedniej powierzchności.

— Można się z łatwością ucharakteryzować. Panna, która chce pracować i która jest piękna jak pani, wystawiana jest w stolicy na miljony pokus.

— Potrafię się im oprzeć. Jak dotąd jestem czysta.

— Podziwiam panią.

— Niema za co. Można się przyzwyczaić do wszystkiego, nawet do dziewictwa. A zresztą niech pan nie sądzi, że jestem z tego dumna. Nie ma w tem nic złego, jeśli się jest dziewicą, ale jest w złym guście chełpić się tem.

— A w takim razie, śliczna pani, jeśli do tej pory była pani zapieczętowana w oczekiwaniu na męża, dzisiaj powody, dla których czuwała pani nad tą pieczęcią, są usunięte. A dlatego, że majątek, sporty, rozrywki i stanowisko społeczne nie pozwalały pani upaść, dziś gdy rozrywki są dla pani rzadkością, a matematyka życia każe pani rozwiązywać swoje zadania, jest pani najzupełniej bezbronną. I muszę wyznać, że byłbym niepocieszony, z racji tej sympatji, którą żywię dla pani, gdyby pani musiała upaść. Niech się pani ma na baczności. Mężczyźni to wampiry.

— Ależ ja się znam na ich sztuczkach. Przypuszczają szturm z bukietem kwiatów, z pudełkiem czekoladek, albo z klejnotem. Jest to dla mnie broń nie niebezpieczna, bo posiadałam sama olbrzymie ogrody, cukiernika w domu, i byłam tak dumna z moich klejnotów, że chodziłam zawsze z gołemi rękoma i z gołą szyją, tak zresztą jak teraz, gdy ich już nie posiadam.

— Ale przyjdzie taki dzień, że pani zatęskni za temi utraconemi rzeczami, i spotka pani człowieka, który pani będzie obiecywał dobrobyt, zbytki, może nawet wmówi w panią, że odbuduje całą jej przeszłość!

— Nie będę mu wierzyła. Praca będzie taką nieoczekiwaną nowością w mojem życiu, że napewno mnie nie znuży.

— Praca! Ależ dziecino, jak ty chcesz pracować?

— Zdaje mi się, że mam talent sceniczny, ale nigdy jeszcze nie miałam sposobności deklamować publicznie.

— Czy być może? Czyż doprawdy nigdy nie była pani w miejscowości górskiej, gdzie znajdują się dzieci skrofuliczne, które trzeba wysłać nad morze, albo na plaży morskiej, gdzie są dzieci anemiczne, potrzebujące górskiego powietrza? A zresztą w teatrze, jak zresztą we wszystkich sztukach pięknych, talent nie wystarcza. Trzeba mieć jeszcze odrobinę szczęścia.

— Wiem o tem, Ekscellencjo. Trzeba się urodzić w koszuli.

— Albo w porę ją zdjąć, proszę pani.

— Umiem pisać na maszynie.

— Pani chce być daktylografką? Chce pani zostać kobietą uczciwą, aby nie być kokotą, a marzy pani o posadzie daktylografki?! O, naiwności kobieca! Przecież to jest absurd. Zupełnie tak, jakby ktoś z lęku przed śmiercią popełniał samobójstwo, albo, chcąc zmylić czujność policji, wpadał do urzędu śledczego.



Pittigrilli.

— Cóż zatem mi pozostaje? Mam wyskoczyć przez okno?

— Co znowu. Jest to rodzaj samobójstwa, dla dyletantów. Ludzie tacy jak my, powinni szukać innych sposobów wydostania się na powierzchnię. Czy pani nigdy nie pomyślała o małżeństwie?

— Nie tak łatwo jest zdecydować się.

— Wiem o tem. Ludzie odpowiedni na kochanków, są niemożliwi jako mężowie, podobnie jak pewna mieszkanka, idealne jako garsonierki, są zupełnie nieodpowiednie do zamieszkania.

— Odpowiednio zamożny i nieprzyzwoicie młody arystokrata, oświadczył się o moją rękę.

— Przed bankructwem?

— Nie, po bankructwie.

— Brawo!

— Ale nie podobał mi się. Miał średnią inteligencję i pisał do mnie wykaligrafowane listy, podobna do dyplomów, był naszpikowany przesądami i kochał mnie do szaleństwa.

— To pani nie wystarczało?

— Był głupi, jak altruista: jedyna rzecz, która przemawiała za nim, to to, że był mistrzem bez konkurencji w *tir au pigeon...*

— Odpowiedniejszym materjałem na męża jest głupi sportsmen niż melancholijny poeta.

— Któryby jednak nie był zbyt głupi. Kiedy przez pięć minut rozmawiałam z tem indywiduum, czułam, że dotykam czegoś lepkiego, tak, że miałam ochotę umyć się w sublimacie, wytrzeć się pomeksem, otworzyć okna i zapalić *papier d'Orient.* Kiedyś, kiedy mnie irytował bardziej niż kiedykolwiek, każąc mi przeliczać pałki swej hrabiowskiej korony, powiedziałam mu, że kpię sobie z niego i z całego almanachu gotajskiego.

— Innych kandydatów nie ma?

— Przynajmniej nic o tem nie wiem.

— Nie pomyślała pani o handlu.

— Nie mam predylekcji do ciągłego złodziejstwa: nie wiem nawet, z której strony nalepia się znaczki pocztowe.

— Nie ginie się z takim wdziękiem i z taką inteligencją. Ma pani przytem temperament i spryt, które wprawiają w zachwyt.

— Tylko bez pochlebstw.

— Jest pani tak, jak termometr złożony z dwóch substancji: ze spirytutu *) i z żywego srebra.

— Co do owej pierwszej substancji, pan ma nademną wyższość, ekscelencjo. Nie, proszę mnie nie całować po rękach. Już nie są piękne. Moja manikurzystka jest głucha na telefoniczne wezwania.

— Pani skóra jest chłodna, jak skóra perwersyjnej kobiety.

— A jednak nią nie jestem.

— Istotnie. Ma pani spokojną twarz kobiety, która nigdy nie kochała.

— Co pan może o tem wiedzieć. Serce moje pana wszak nie interesuje.

— Przeciwnie. Serce pani jest...

— ...nieciekawe. Wszystkie panny po dwudziestce kochały mężczyznę, który w rzeczywistości może nie istniał, ale którego stworzyły siłą swej wyobraźni. I taki mężczyzna sprawiał nam ból i rozkosz, pomimo, że był tylko zjawą.

— Słyszałem, że pani skazywała na męczarnie nietylko zjawy...

— Być może. Inni za to mnie przyprawiali o męczarnie. Męki miłosne są jak fałszywe banknoty: jeśli ich nie można zastąpić innemi, puszcza się je napowrót w kurs.

— Nigdy nie spoglądałem z tak bliska w pani oczy. Są jak dwie wielkie krople herbaty.

— Mało słodzonej.

— Odziedziczyła pani po swoim ojcu francuskie *esprit*, a po matce niemiecką trzeźwość umysłu. Jest pani typem dziewczęcia *made in Germany*, inteligentnej, jasnowłosej. Pani piękność, inteligencja i temperament odsłaniają przed mojemi oczyma pani przyszłość. W pani oczach jest płomień...

— W głębi duszy jestem chłodna.

— Może w głębi. Ale nie na powierzchni. Niebezpieczeństwo czai się na powierzchni.

— A więc pomimo swego doświadczenia światowca i rozległych stosunków, nie może pan wyszukać dla mnie tego, o co proszę?

— Doświadczenie moje służy jedynie do tego, by panią przestrzec przed przepaścią, a stosunki towarzyskie pomogłyby jedynie do znalezienia setek mężczyzn, którzyby chcieli panią weń zepchnąć. Iluż to jest takich, którzyby z rozkoszą wzięli panią do swego domu i tam otoczyli pieszczotą przez kilka miesięcy! Ale potem- Albo niespodziewany wyjazd, albo egzamina, albo małżeństwo, albo inna kobieta, oderwałaby ich od pani. I musiałaby pani schronić się do domu drugiego mężczyzny, a potem trzeciego, nie mogąc liczyć na nic pewnego i trwałego: tułałaby się pani znowu po miejscowościach kąpielowych; przez *demi monde*, byłaby pani uważana za najponętniejszą i najbardziej podziwianą: ale odnoszonoby się do pani zawsze jak do parweniuszki. Otóż, z racji ojcowskiego uczucia, jakie żywię dla pani...

— Ekscellencjo, a to co znowu!

— Jest to pocałunek ojcowski.

— No wie pan. A to ładna historja.

— Śliczne ma pani usta. Pani piersi są napewno podobne do kwiatu magnolji, sądząc po białości szyji. Może trochę za maleńkie są te piersi...

— Wystarczające dla mnie.

— Powinny wystarczyć także dla innych.

— Są małe, ale zdrowe.

— Czy można ich dotknąć?

— Ekcellencja nie myśli w tej chwili o pani ministrowej!

— Bardzo rzadko myślę wogóle o pani ministrowej! Żałuję, iż na początku mojej karjery nie spotkałem kobiety podobnej do pani. Żona moja jest za bardzo *pot-au-feu*, aby móc ułatwiać drogę dyplomacie. Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które nam przepisuje haftowany mundur, kapelusz stosowany i szpadę, nie pomyślało o tem, aby nam dostarczyć dekoracyjnej żony na dnie parady(podobnie jak Ministerstwo Spraw Wewnętrznych dostarcza prefektom umeblowane mieszkania, porcelanę i platery).

— To jabym mogła spełniać tę rolę?

— Pani jest isto...

— Ekscellencjo!

— ...tą wymarzoną!

*) Po włosku: „spirite", ma podwójne znaczenie: rozum i spirytus.

— A ten pocałunek jest także ojcowski?

— Nieco mniej.

— A ja zwróciłam się do pana o pomoc, bo człowiek żonaty daje przecież pewne gwarancje solidności. Pan to musi porządnie zdradzać tę ministrową!

— Zdrada jest przecież jedynie konsekwencją małżeństwa. Z racji mego zawodu muszę często podróżować, a moja żona za nic na świecie nie chce się ruszyć z domu. A ja tak nienawidzę podróżować sam. Czy pani znosi podróże morskie?

— Byłam kapitanem na moim małym yachcie.

— A podróż koleją?

— Przepadam za wioskami, które uciekają wzdłuż szyn, i granic, które... Podróżowałabym przez całe życie. Jestem *par excellence* włóczęgą...

— Dla ekscellencji?

— Dlaczegóżby nie. A kiedy się nie będzie podróżować?

— Poprosiłbym panią o jeżdżenie kolejno na moich koniach, które się nudzą w swoich boxach.

— Ze mną napewno się nie znudzą. Jeżdżę, jak pastuch.

— Chciała pani powiedzieć, jak amazonka?

— Nie, jak pastuch. Na oklep. Potrafię i na siodle, po amerykańsku.

— A ponieważ niepodobna, aby pani cały dzień spędzała na statku, w wagonie, lub na koniu, wynająłbym pani apartamencik podług pani gustu, ze służbą, która traktowałaby panią jak udzielną księżnę.

— A od kiedy zostanę udzielną księżną?

— To już zależy tylko od pani.

— A co na to powie opinja publiczna?

— Że pani jest moją kochanką. Jest to rzecz nieunikniona. Gdy ktoś chce uniknąć głosu opinji, to zupełnie tak, jakby chciał się skryć przed własnym cieniem, albo walczyć ze swoim pechem. Powiedzą, że jest pani przyjaciółką człowieka solidnego, na którego w przyszłości można liczyć. Mężczyźni przeważnie są niestali i niepewni.

— Ależ tak. Doskonale się znamy na waszym *savoir faire.*

— I na *faire savoir* innych: ja jestem starym romantykiem, skłonnym do miłości, a miłość rodzi we mnie siłę i coś w rodzaju choroby.

— Skórnej?

— Nie jestem przytem ani zbyt wymagającym, ani zbyt ekskluzywnym. Czy mój program pani dogadza?

— Niezupełnie. Przyszłam tu po uczciwą posadę, dlatego, ażeby mi pan nie dał wstąpić na złą drogę.

— I dlatego wskazuję pani lepszą. Czy pani się zgodzi na to, abym był jej przewodnikiem?

— Pomyślę nad tem. A teraz żegnam pana, Ekscellencjo, bo to pora obiadowa. Muszę wrócić do hotelu.

— Do tego wesołego hotelu, w którym nie mieszka ani jedna kobieta ze skandalem? Niech pani lepiej idzie ze mną do restauracji. Niech pani włoży futro, a ja zatelefonuję do domu, ażeby nie czekano na mnie z obiadem. Niech się pani przez ten czas zdecyduje.

— Czy panu zależy na czasie?

— Zostawiam pani czas do namysłu do północy, do trzeciej, do czwartej, do ósmej zrana...

— Więc co mam odpowiedzieć?

— Żebym zatelefonował do domu, ażeby nie czekano na mnie również przez całą noc!...

STANISŁAW PORAJ.

Rośliny myślą...

Nałamaliśmy zielonych gałęzi, narwaliśmy kwiatów: umailiśmy niemi bramy domów: przystroiliśmy nasze mieszkania... Jutro, pojutrze zwiędnie zieleń i kwiaty — obojętnie rzucimy je na śmietnisko.

Nim jednak zwiędnie i zeschnie, znajdźmy może chwilę, by spojrzeć na kwiaty i zieleń jako na przejaw życia, przemijającego jak nasze, a przecież wiekuistego w swem trwaniu.

W mrocznej, wilgotnej piwnicy z zimy pozostał ziemniak. Wiosną zakiełkował i puścił korzenie: chorobliwie wybladłe, długie jego łodygi pną się mozolnie ku oknu, jakby wiedziały, że tędy właśnie wydostać się mogą na słońce. Zdają się nie różnić niczem od więźnia, chwytającego się krat okiennych, by choć przez chwilę spojrzeć na świat szeroki, nieogarniony okiem.

Lub weźmy inny przykład: dzikie wino, pnące się po murze, samo się czepia wąsami wbitych weń ćwieków. Gdybyśmy postawili podpórkę po prawej ręce ku tej stronie skieruje swe wąsy. Jeśli przestawimy ją z lewa — nazajutrz znowu na lewo wąsy swe odwróci. Rzecby się chciało, wyczuwa ją czy dostrzega tkankami wąsów i przyczepek.

W dziele „Ueber Leben und Polarität" Brandisa znajdziemy fakt, któremu może nie zechcemy dać wiary. Korzeń pewnego drzewa napotkał na swej drodze podziemnej starą podeszwę trzewika: przeszkody tej nie mógł ominąć, musiał ją przebyć. Podzielił się więc na tyle włókien, ile było w podeszwie dziur po kołkach szewckich. Włókna przecisnęły się przez dziurki w podeszwie, każde z osobna, i zrosły się potem bez śladu.

Ale roślina nietylko widzi — wiemy, że i czuje. Komuż z nas nie przyjdzie tu na myśl mimoza, tuląca trwożnie listki za lada dotknięciem, za lada silniejszym podmuchem wiatru. Równie wrażliwą jest muchołówka z rodziny rosiczkowatych. Ma ona liście tak czułe, że jeśli na jednym z nich siądzie drobny owad, liść stula się i nie rozwija dopóty, dopóki martwa ofiara nie przestanie szamotać się w zamknięciu. A nie jest to bynajmniej wyjątek; w niezmiernie pomysłowe potrzaski chwytają drobne owady dzbanecznik, tłustosz, kapturnik i inne... dorzucićby można do nich owe niezbadane jeszcze, półbajeczne drzewa-potwory, pożerające zaplątanych w gałęzie ich, nieopatrznych wędrowców. Przykłady te zaprzeczają niezbicie encyklopedycznemu określeniu roślin, iż są to istoty żyjące, obdarzone zdolnością żywienia się i rozradzania, a różniące się od zwierząt brakiem ruchu i czucia.

Brakiem ruchu — tak! Ale nie brakiem czucia — boć nie tuliłyby swych liści mimozy, nie okręcałby się za słońcem znany każdemu dziecku słonecznik, — nie mielibyśmy wreszcie w świecie roślinnym esparcety, której liście drgają bez przerwy rytmicznie, a tak są wrażliwe na światło, że zwalniają tempo drgań, gdy niebo przesłonięte jest chmurami, przyśpieszają — gdy słońce się z za chmur ukaże. Ową skromną, trójlistną esparcetę możnaby nazwać fotometrem roślinnym, jaki stworzyła dawno już natura, nim jeszcze Crookes wynalazł swój radjometr.

Nie sądźmy, że na tym przykładzie kończy się zwycięskie współzawodnictwo przyrody z wynalazczością człowieka. Roślina istotnie jest pozbawiona ruchu — jak nas o tem poucza encyklopedja. Zdaje sobie ona jednak najwyraźniej sprawę, że potomstwo jej musi szukać gleby, skąd jeszcze żadnych soków nie wypiły korzenie pnia macierzystego. Wbrew przysłowiu, jakoby niedaleko padać miało jabłko od jabłoni, — roślina stara się właśnie odrzucić siewne swe ziarno jaknajdalej od siebie. Klon, sosna czy lipa przed wiekami już opatrzyły swe nasiona w rodzaj latawców i spadochronów, które człowiek tak stosunkowo niedawno wynalazł. Lucerna dzika, układa swe ziarnka w spirale, przypominające śrubę Archimedesa, a inna z jej krewniaczek buduje coś na kształt śmigi samolotowej. Najbardziej jednak zdumiewającym wyda się nam wynalazek balistyczny momordyki, z rodziny dyniowatych. Dojrzewający owoc tej rośliny, pospolitej nad morzem Śródziemnem, za najlżejszem dotknięciem odrywa się od łodygi i tryska zmieszaną z nasieniem cieczą kleistą, na odległość cztérech do pięciu metrów.

Pocóż jednak szukać mamy ziół czy krzewów nad brzegami morza śródziemnego. I u nas przecież, na naszych nikłych mamy rzepak, na przydrożach jałowiec. Pękające strąki obu tych roślin jakże daleko wyrzucają ziarno, posługując się przytem nieznaną nam zupełnie siłą.

A czyż i nami samymi nie posługują się rośliny, by jaknajdalej odrzucić owo jabłko od jabłoni. Wiśnia czy pomarańcza, grusza czy śliwa darzą nas soczystym owocem, żądając jedynie, byśmy odrzucili niejadalną pestkę.

Nietylko jednak wówczas stara się nieruchoma roślina przezwyciężyć swój bezwład, gdy chodzi o odrzucenie owocu od pnia macierzystego. Wiemy, że z krzyżowania osobników pochodzi potomstwo silne i pełne zdolności do życia, marnieją zaś dzieci rodziców, zbyt blisko z sobą spokrewnionych. Roślina zdaje się jakby wiedzieć o tem i stosować to samo prawo do siebie. W jednym i tym samym kwiecie kryją się wprawdzie i pylniki i słupki ale roślina, broniąc się przeciw samozapyleniu, buduje słupek tak wysoki, by pręciki tegoż samego kwiatu zapylać go nie mogły. Jakże bogatą przytem jest inwencja roślin, dążących do skrzyżowania. Jedne polegają tu na sile wiatru, przenoszącego pyłek z kwiatu na kwiat. Inne zmuszają do współpracy szereg owadów, pszczół, trzmieli, much, wabiąc je do wnętrza kwiatu, umieszczonym w głębi miodnym nektarem. Genjalnie prosta a pomysłowa budowa kwiatu polega na tem, by owad musiał się unurzać w pyłku pręcików, a potem pyłek ten przenieść i osadzić na słupku innego kwiatu. Przyglądając się zbliska tym drobnym wynalazkom i urządzeniom, — mówi genjalny obserwator kwiatów i owadów Maeterlinck — mamy wrażenie, że jesteśmy na wystawie narzędzi maszynowych, będących wyrazem twórczego, mechanicznego genjuszu człowieka. Różnica polega na tem jedynie, że

(Dokończenie na str. 15-tej)

Co słychać na świecie

Stosunki na pograniczu polsko-niemieckiem i polsko-litewskiem zaczynają budzić zupełnie usprawiedliwiony niepokój. Po pamiętnych zajściach pod Opaleniem grupa obywateli niemieckich przekroczyła granicę i ostrzelała strażnika polskiego pod Wielkiem Wiosłem w chwili, gdy tenże legitymował obywatela niemieckiego, przechodzącego przez granicę.

Co do Litwy, to ta wyraźnie złamała umowę o małym ruchu granicznym z Polską, upoważniającą obywateli obu państw do przekraczania granicy za przepustkami rolnemi, celem uprawy gruntów przepołowionych gospodarstw. Na zasadzie takiej właśnie przepustki przeszła granicę W. Błażejszówna, litwinka, obywatelka polska, którą zastrzelili litewscy strażnicy graniczni na terytorjum litewskiem. Za przepustką również udał się na Litwę J. Rym-



W związku z wstąpieniem na tron króla Karola II, minister Diamandi przybył do Bukaresztu.

kiewicz, obywatel polski, którego aresztowano, a potem torturowano w Kownie jako podejrzanego o szpiegostwo, by wreszcie stwierdzić, że podejrzenia były bezzasadne.

Przeciwko takiemu postępowaniu naszych najmilszych sąsiadów należałoby jaknajenergiczniej zaprotestować.

*

I w sprawie stosunków gospodarczych polsko-niemieckich trudno również żywić nadmierny optymizm. O sprawie niemotywowanej niczem zwyżki ceł niemieckich, bezpośrednio po rokowaniach genewskich, pisaliśmy obszerniej na tem miejscu. To podwyższenie taryfy celnej usprawiedliwił wprawdzie rząd niemiecki notą z d. 2 maja, — poglądów jednak w nocie tej wyrażonych, rząd polski podzielać nie może, jak to stwierdza nota naszego M. S. Z. z d. 14 b. m. Rząd nasz zgodzić się nie może mianowicie z tem, by ostatnie podwyżki ceł niemieckich spowodowane być miały okolicznościami nagłemi, wymagającemi niezwłocznego zastosowania podwyżek, ponadto stwierdza nasza nota, że istotne interesy Polski zostały wskutek podwyżek tych narażone na szwank.

*

Europejskiej federacji, zaproponowanej przez Brianda, poświęcił przemówienie swe p. min. Zaleski w d. 13 b. m. w krakowskim Klubie Społecznym.

Możliwość zrealizowania projektu federacji europejskiej uzależnił p. minister spraw zagranicznych od sposobu realizacji, zastrzegając się przedewszystkiem, że na dokonanie się pewnych procesów w psychice narodów potrzeba czasu. Dalej wskazał p. minister, że zarówno porozumienie polityczne, jak i gospodarcze Europy możliwe jest jedynie na zasadzie postanowienia żywotnych interesów wszystkich gospodarstw narodowych. Wreszcie przestrzegał p. Zaleski przed trzecią rafą podwodną — jak się wyraził — której dopatrywać się można w enuncjacjach pewnych polityków, którzy jako warunek realizacji projektu p. Brianda wysuwają rzekomą konieczność rewizji traktatów pokojowych. Takie stawianie kwestji, uznał p. min. Zaleski za zwykłe i proste torpedowanie całego projektu, dodając, że wszelkie próby rewizjonistyczne równają się przygotowywaniu nowych katastrof, nowego bezmiaru nędzy i cierpienia.

Słowa te powinnyby być zrozumiałe po tamtej stronie kordonu!



Król Karol II w chwili przejazdu przez ulice Bukaresztu, witany jest owacyjnie przez ludność.

*

Dodatni bilans handlowy Polski za m. maj wykazuje 2,5 milj. zł. przewyżki naszego wywozu nad przywozem.

*

Ekscelencja Grandi, minister spraw zagranicznych Włoch, który, jak wiemy, po wizycie warszawskiej udał się na zaproszenie p. marszałka Piłsudskiego do Druskiennik, podzielił się swemi wrażeniami z jednym z dziennikarzy krakowskich. Marszałka Piłsudskiego uważa p. min. Grandi za opatrznościowego męża Polski, porównywując go z dwoma bohaterami historji Włoch. Mazzinim i Garibaldim. Paraleli psychologicznej pomiędzy p. marszałkiem Piłsudskim a Mussolinim min. Grandi nie przeprowadzał, zaznaczając jedynie, że czem jeden z nich jest dla Włoch, tem drugi jest dla Polski. W charakterystyce Polski podkreślił p. min. Grandi przedewszystkiem szybkość, z jaką się zjednoczyły trzy zabory; dalej uwypuklił cechującą nasze społeczeństwo powagę państwowotwórczą, wyrażającą się w patrjotyzmie pracy, spotęgowanym szczerą miłością ojczyzny; wreszcie na zakończenie stwierdził p. minister, że wojsko nasze mu zaimponowało.

*

Mocą dekretu p. Prezydenta Rzplitej sesja nadzwyczajna Senatu zwołana została na dzień 18 b. m.

Do dekretu dołączone zostało pismo p. premjera Sławka do p. marszałka Szymańskiego, stwierdzające, że zawarte w piśmie posłów z d. 9 maja żą-



W Chinach walki wciąż trwają. Generał Li-Fu-Ying objął dowództwo na froncie Honamu.

danie zwołania sesji nadzwyczajnej nietylko Sejmu, ale i Senatu, było przekroczeniem uprawnień, przysługujących Sejmowi.

*

Dnia 12 b. m. odbył się na Zamku w obecności p. Prezydenta wieczór dyskusyjny na temat potrzeb woj. pomorskiego. W czasie dyskusji prezes Rady Zrzeszeń Gospodarczych Pomorza, p. Dąbski, nakreślił najważniejsze postulaty gospodarcze tej dzielnicy, następnie wręczono p. Prezydentowi szczegółowy memorjał, rozwiązujący te zagadnienia.

*

Na jednem z ostatnich posiedzeń komitetu ekonomicznego rady ministrów, uchwalono wytyczne polityki zbożowej na r. 1930/31. Wytyczne te stanowią, że bezcłowy przywóz zbóż i strączkowych odbywać się może tylko za zgodą p. min. rolnictwa; zasada premij wywozowych w postaci zwrotu ceł zostanie nadal utrzymana, wreszcie firmom i organizacjom eksportowym, które wykażą się większemi obrotami, przyznawane będą specjalne ulgi.

*

Inne niewątpliwie pojęcia, niż w całym świecie cywilizowanym, panują w Sowietach. Oddział wojska sowieckiego przekroczył mianowicie granicę persko-sowiecką doszedł do miasta Ahr, leżącego o 20 km. od granicy, rozbroił szereg posterunków perskich, aresztował jednego oficera i ujął kilku emigrantów rosyjskich, których uprowadził na terytorjum sowieckie.

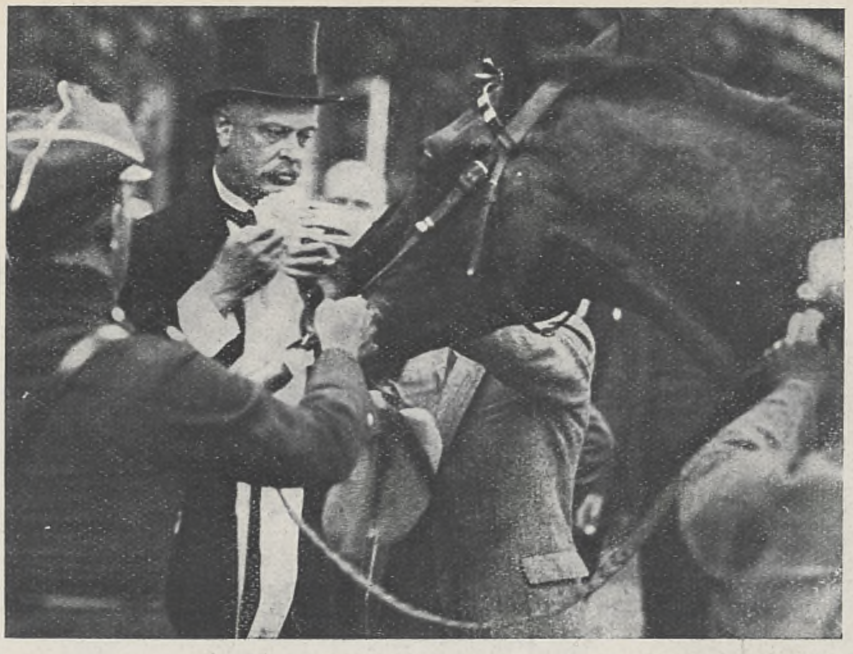
Postępowanie doprawdy niezwykle uproszczone!

*

Premjer rumuński Maniu wygłosił wielką mowę polityczną, w której stwierdził, że zmiana na tronie była koniecznością narodową, a powrót księcia Karola do Rumunji odbył się na drodze legalnej. Podobnie też obwołanie ks. Karola królem, nastąpiło z zachowaniem wszystkich form konstytucyjnych.



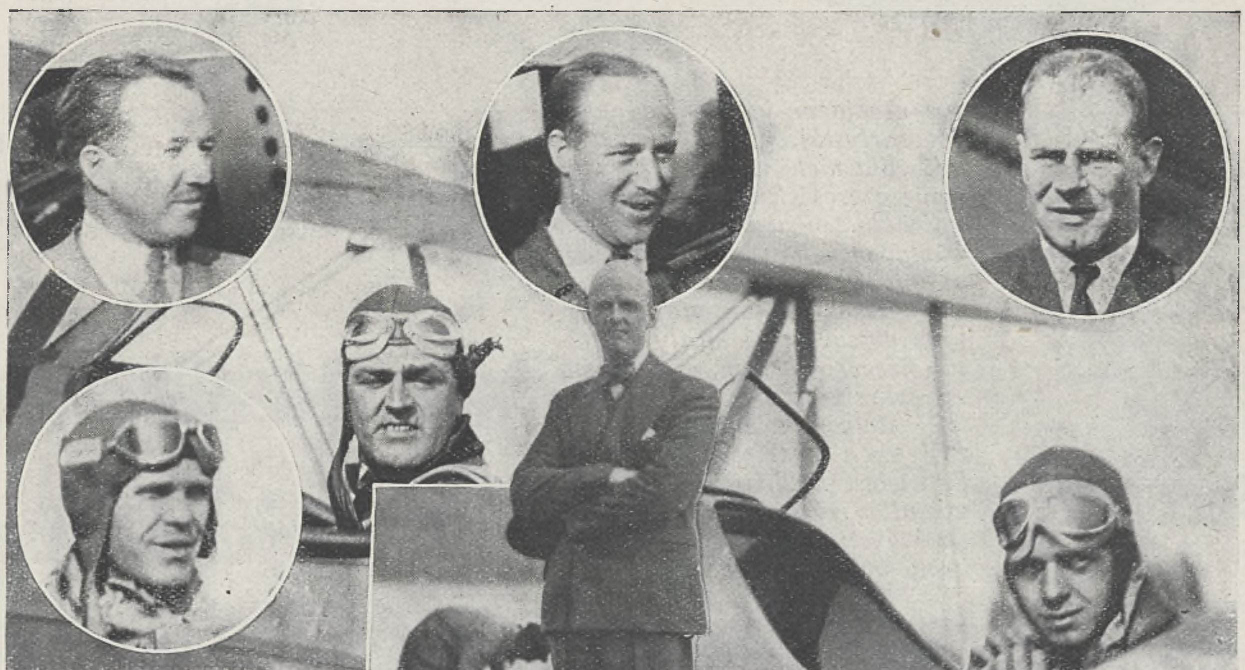
W ubiegłym tygodniu organizacje sjonistyczne manifestowały na ulicach naszej stolicy przeciw ograniczeniom, wprowadzonym przez Anglików odnośnie do wjazdu imigrantów żydowskich do Palestyny.



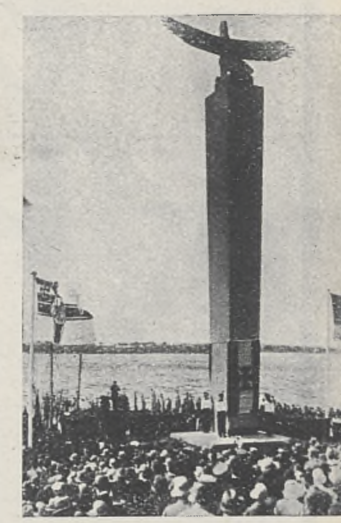
Tegorczne „Derby" warszawskie wygrał koń „Beyruth", należący do 17 pułku ułanów. (fot. Ryś)



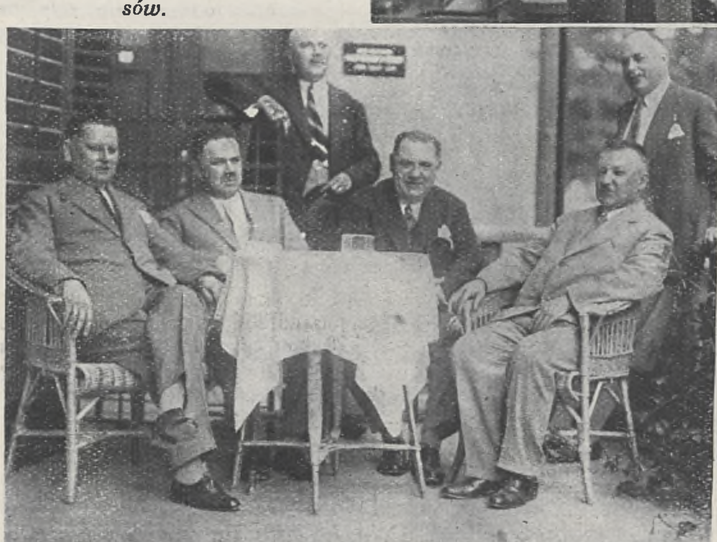
W okolicach Paryża, w Vincennes, została wybudowana wierna kopja świątyni z Kambodży. Świątynia ta przeznaczona została dla studentów i kolonji indo-chińskiej w Paryżu.



W tygodniu ubiegłym gościła w Warszawie eskadra lotników amerykańskich, na aparatach Curtiss Wright. Lotnicy, którzy się sami nazwali „Latającym cyrkiem", dokonali szeregu niebezpiecznych i efektownych popisów.



W Kilonji został odsłonięty pomnik, ku czci poległych marynarzy. Marynarze ci, w liczbie 5132 ludzi, zginęli, jako osady 199 zatopionych łodzi podwodnych.



Tegoroczny sezon w Piszczanach tętni ożywionem życiem. Na zdjęciu widzimy pp.: Bohdana Jarochowskiego, nacz. redaktora „Kurjera Poznańskiego", dr. med. Edwarda Cmunta, dyr. Spindlera, gen. sekr. Piszczan, dra Zlamala, posła na sejm, Jaruzelskiego i inż. Matouseka, czeskiego konsula w Poznaniu.



Mjr. Seagrave, słynny „tytan szybkości", zginął w tych dniach podczas wyścigów na motorówce „Miss England".



Mistrzostwo świata w boksie zdobył w tym roku Max Schmeling.






Turniej „7-miu Dni"

Która z artystek scen polskich jest najbardziej czarująca?



Entuzjazm, jaki budzą nasze artystki, gorąca sympatja dla nich, szczere przywiązanie szerokich warstw publiczności do teatru i jego uroczych kapłanek — nasunęły redakcji „7-miu Dni" myśl zorganizowania rycerskiego turnieju, do którego stanąć może każdy czytelnik naszego pisma:

Byliście już świadkami i uczestnikami wielu emocjonujących konkursów, Szanowni Panowie. Braliście już nieraz udział w różnych plebiscytach. Dziś występujemy z nową inicjatywą, którą przyjmiecie, mamy nadzieję, gorąco. Chodzi mianowicie o rozstrzygnięcie kapitalnej kwestji, która z artystek scen polskich jest najbardziej czarująca?

Nieda się oddzielić zjawiska talentu od czaru osobistego danej artystki. Każdy teatroman powinien tedy wymienić rycersko imię swojej damy. Dawniej skruszyłby na jej cześć kopję, potykając się w szrankach: dziś, w dobie nawskroś pacyfistycznej, nadeśle do redakcji kupon...

— Czyż to nie jest znacznie prostsze?



Warunki turnieju „7-miu DNI"

1. *Do dnia 6 września nadesłać należy kupon, wycięty z naszego pisma, podając imię i nazwisko artystki, którą głosujący uważa za najbardziej czarującą, imię i nazwisko własne, adres, oraz fotografję artystki, zgłoszonej do turnieju ,o ile kandydatka nie jest znana szerszej publiczności. Wielce pożądane byłoby również dołączenie króciutkiej charakterystyki stawianej przez siebie kandydatury, względnie, uzasadnienie jej w sposób jaknajzwięźlejszy.*
2. *Wolno stawiać kandydatury artystek wszystkich scen polskich ,zarówno stołecznych, jak prowincjonalnych: operowych, dramatycznych, rewjowych i filmowych.*
3. *Podobizny pań artystek będą kolejno umieszczane w „7-miu Dniach". Po ukończeniu turnieju i obliczeniu nadesłanych głosów (jak wynika z brzmienia p. 1-go każdy może głosować tylko raz, przysyłanie przez jedną osobę większej ilości kuponów jest niedopuszczalne) artystka, otrzymująca największą ilość głosów, uznana przez naszych czytelników za najbardziej czarującą, otrzyma cenną nagrodę w postaci*

   Bonu na portret,

   który podjął się wymalować znakomity malarz kobiet, nagrodzony w ostatnim Salonie złotym medalem, wybitny portrecista,

   JAN RUDNICKI.
4. *Trzy następne panie, które zbiorą największą ilość głosów, otrzymają cenne upominki.*
5. *Ale na tem nie koniec. Między panami, którzy głosowali na artystkę, otrzymującą palmę pierwszeństwa i uznaną, w wyniku turnieju, za najbardziej czarującą, dokonane zostanie losowanie portretu artystki nagrodzonej. Gdyby okazać się miało, że zwycięstwo odniesie osoba, która dla jakichkolwiek względów nie będzie sobie życzyła rozlosowania jej portretu — portret stanie się własnością redakcji „7-miu DNI" — a szczęśliwy wybraniec losu otrzyma jego całkowity pieniężny ekwiwalent.*

Głosy naszych znakomitych literatów i przyjaciół teatru o turnieju „7-miu DNI", w chwili oddania tego numeru na maszynę:

Warszawa odniesie się niewątpliwie miło do ogłoszonego przez redakcję „7 Dni" turnieju. Będziemy wszyscy z prawdziwem zainteresowaniem śledzić przebieg głosowania, a tryumfatorce — niewątpliwie jednej z ulubienic publiczności — bić brawo.

Marjan Borzęcki.

Pomysł wyborny. Konkurs ten przypomina, że wdzięk jest potęgą ogromną i że stanowi jeden z najcenniejszych elementów sztuki. Piękność i wdzięk! Nikt się nie oprze ofenzywie tych dwuch aljantów, ale piękność bez wdzięku jest słabsza, aniżeli wdzięk bez piękności. Wdzięk łatwo się obejdzie bez urody ;piękność bez wdzięku popada w brzydotę.

Wacław Grubiński.

Turniej „7 Dni" uważam za pomysł wdzięczny i bardzo szczęśliwy. Sam niewątpliwie stanę do tego konkursu i będę gardłował za moją kandydatką, wołając urbi et orbi, że nie masz nad nią cnotliwszej i piękniejszej damy w całem chrześcijaństwie. Na samą myśl, że mógłbym w dodatku wygrać z czasem jej portret pędzla Jasia Rudnickiego ogarnia mnie gorączka. Powiesiłbym ten portret w moim salonie, naprzeciwko portretu mojej żony, pędzla tegoż mistrza, stanąłbym na środku pokoju i patrząc jednem okiem w prawo, drugiem okiem w lewo — dostałbym rozkosznego zeza.

Zdzisław Kleszczyński.

Zjeździwszy ładny kawał świata, a przedewszystkiem Amerykę, od miedzy do miedzy, poznawszy osobiście najsłynniejsze gwiazdy teatralne i kinowe — uderzam czołem przed wdziękiem artystek polskich. Turniej „7 Dni" obudzi niewątpliwie ogromne zainteresowanie.

Ryszard Ordyński.

Pomysł turnieju, ogłoszonego przez Sz. red. „7 Dni", uważam za bardzo miły. Gdy portret laureatki będzie wystawiony kiedyś w salonie, pójdę go oklaskiwać frenetycznie.

Mieczysław Rulikowski.

Konkurs jest bardzo interesujący. Udział w nim wezmę, gdyż będąc członkiem rady teatralnej bacznie śledzę rozwój talentów, a jako adwokat do spraw rozwodowych mam do czynienia z niejedną urodziwą niewiastą. Palmę pierwszeństwa jednak oddałbym raczej starszej gwardji sceny... Komu? — Okaże się to podczas głosowania, a dlaczego — umotywuję również później.

Stanisław Wilczyński.

Panowie wstępują na bardzo niebezpieczną drogę. Wynik waszej ankiety będzie ten, że pozyskacie sympatję jednej osoby, i to najwdzięczniejszej i najłagodniejszej — tej wybranej. Narazicie sobie kilkadziesiąt mniej wdzięcznych — nie wybranych. Podnoszę palec do góry i ostrzegam, iż z błahszych powodów wynikały wojny trojańskie. Ja w tej ankiecie udziału brać nie będę — wolałbym siedzieć w kryminale.

Bruno Winawer.

Za kulisami pokoju i wojny

III

Coraz groźniejsze chmury zbierały się nad horyzontem politycznym Europy. Wytworni dyplomaci, z pobłażliwie niewinnym uśmieszkiem, nieustannie sobie wręczali noty, zapewniające o serdecznej przyjaźni, jaką cechowały wszystkie państwa, we wzajemnych stosunkach. Po powrocie zaś z tych towarzysko-oficjalnych wizyt, ślęczeli długiemi godzinami nad raportami, w których meldowali swym rządom o możliwościach podejścia państwa, udzielającego im dyplomatycznej gościny.

Kocioł Bałkański, uważany dawniej za nieustannie tlejące zarzewie wojny, gotował się i bluzgał krwią setek tysięcy walczących żołnierzy.

Oddziały wywiadowcze wszystkich sztabów generalnych pracowały gorączkowo, rzucając coraz większemi garściami pieniądze na ludzi, zaciągając pod swoje sztandary przedstawicieli wszystkich klas społecznych, stanów i płci. Jeżeli się tak można wyrazić, to rola szpiega w owym czasie, była bardzo intratną posadą, prawda, że niebezpieczną, ale zato, przy szczęśliwem uniknięciu wszelkich pułapek, dająca pełną rękojmię obfitych zdobyczy.

Od 1912 roku, Austrja, staje się prawdziwą „ziemią obiecaną" dla wywiadowców wszystkich absolutnie, ościennych państw. Powód tego był bardzo prosty. Monarchja austrjacka, zlepek różnojęzycznych narodów, posiadająca jako jedyny wspólny łącznik urzędowy język niemiecki, policję i wojsko, nie mogła prowadzić różnorodnej polityki wewnętrznej. Polacy, Czesi, Węgrzy, Słowacy, Słoweńcy, Chorwaci, Rumuni i Niemcy, stanowiący wspólny stop państwowy, musieli być przez rząd centralny analizowani odmiennemi odczynnikami politycznemi. Każdy z tych poszczególnych narodów, posiadający własne tradycje, historję, kulturę i ideje uginał karku przed cesarzem z Burgu, jednakże w głębi duszy był mu nieżyczliwy i pochopny, przy pierwszej lepszej sposobności do nieposłuszeństwa. Austrję można było przyrównać do wielkiego gumna dworskiego, napełnionego drobiem i zwierzętami domowemi wszelkich gatunków, a utrzymywanych we względnym ładzie i spokoju przez brytana.

Nic też dziwnego, że akcja szpiegowska państw ościennych znajdywała w Austrji, przed samym wybuchem wojny europejskiej wdzięczne pole do pracy. Konfidenta w Austrji znaleźć było nietrudno, a nawet w łonie samej armji, składającej się przecież, z przedstawicieli narodów, stanowiących pień monarchji.

Rosjanie, urodzeni intryganci na obcym gruncie, utworzyli trzy bazy operacyjno-wypadowe w kierunku Austrji. Pierwsza i najważniejsza mieściła się w Warszawie, na placu Saskim, pod kierunkiem pułkownika Batiuszkina i jego dwóch pomocników: pułk. Terechowa i kapitana Lebiedjewa. Druga — w Kijowie, której szefem byli pułkownik Gałkin i Biełowcew; wreszcie trzecia — w Odesie, stojąca w ścisłym kontakcie z wojskowym attache rosyjskim w Bukareszcie, pułkownikiem Siemianowem.

Trzy te gniazda szpiegostwa rosyjskiego pracowały ręka w rękę, przyczem, dla zmylenia śladów, posługiwały się ogniwami łączącemi je, za pośrednictwem swych attaché, przydzielonych do ambasad w innych państwach.

Najwybitniejszymi ich współpracownikami byli: pułkownik Asazanowicz w Sztockholmie, pułkownik Romeyko-Gurko w Szwajcarji i pułkownik sztabu generalnego Włodzimierz Ławrow, zamieszkały na terenie francuskim, w Annecy.

Jednym z ciekawszych systemów wywiadu rosyjskiego było posługiwanie się kobietami, przyczem konfidentki te odznaczały się zwykle nieprzeciętną urodą. Piękność, wdzięk, pozorna niewinność otwierały przed niemi wszystkie drzwi, oraz serca i usta ich wielbicieli, rekrutujących się przeważnie zpośród oficerów i urzędników rządowych austrjackich. Dzięki pięknym paniom: Marji Trąpczyńskiej, Ewie Wójcik i żonie rotmistrza Iwanowa z Sosnowca, sztab generalny rosyjski zawdzięcza pierwszorzędnej wagi wiadomości, łącznie z planami mobilizacyjnemi oraz zdjęciami fotograficznemi, prócz bowiem puderniczki, ołówka do warg i flakoniku z solami trzeźwiącemi, każda z nich posiadała miniaturowy aparacik fotograficzny „Expo", dostarczony przez intendenturę pułkownika Biatuszkina. Zawdzięczając temu „pieczołowitemu" wyekwipowaniu, niejaka Lydja Kaszczenko, zdołała dostarczyć na plac Saski, w Warszawie, drobiazgowe zdjęcia manewrów letnich armj austrjackiej, w lecie 1911 roku.

Opoką carskiego rządu w Rosji, był zawsze kościół prawosławny. Polityka obu tych instytucji biegła nietylko równolegle, ale nawet często się zupełnie pokrywała. Agendy prawosławia, rozsiane w całej wschodniej Galicji, otrzymywały ścisłe instrukcje z Moskwy, pomagania szpiegom rosyjskim na terenie austrjackim. Ogromne sumy pieniędzy, płynące szerokim korytem z Rosji, utworzyły szereg placówek rusofilskich, wśród galicyjskich rusinów i popów. Założono specjalną gazetę „Prikarpatskaja Ruś", której zadaniem było sianie fermentu wśród Rusinów i stwarzanie w ten sposób zastępów filorusów, na których, w razie wojny, armja rosyjska mogłaby się oprzeć.

W tym okresie czasu ofensywa rosyjskiego wydziału wywiadowczego, przechodzi do akcji sabotażowo-zamachowej. Urobiwszy sobie Rusinów, odznaczających się zapalczywością i determinacją w swych posunięciach, a jednocześnie nienawiścią do wszystkiego, co nieruskie, malując przed działaczami rusińskimi wizję połączonych ziem Rusi Czerwonej z Ukrainą, naznaczają Rosjanie hrabiego Bobrińskiego na głównego agitatora idei panrosyjskiej na terenie Galicji. Działalność jego charakteryzują zamachy na objekty wojskowe, fabryki i mosty, dokonywane przez niewykrytych sprawców, w Przemyślu i w Steinfelden, pod Wiedniem. Tajemnice fabryk broni i amunicji zdobywa Bobriński za pośrednictwem swych konfidentów, pracujących w charakterze prostych robotników. Władze austrjackie są bezsilne, wobec tego skoncentrowanego ataku szpiegowskiego. Jedynym ich sukcesem jest przychwycenie szpiega Piechocińskiego, który pracował w arsenale wiedeńskim. Praca konfidentów rosyjskich w Galicji wschodniej staje się z czasem zupełnie bezpieczną. Bezpieczeństwo to zapewniali znani adwokaci, rusini, jak dr. Dudykiewicz, dr. Gluśkiewicz, dr. Czerluczakiewicz, którzy zwykle broniąc swych klientów potrafili tak sprawę pogmatwać, że podsądni wychodzili oczyszczeni z wszelkich zarzucanych im zbrodni.

Austrjacka defensywa, nie mogąc dotrzeć do źródeł rosyjskiej propagandy w Galicji, oraz nie mając sił na to, by odkryć ślady szpiegów rosyjskich, skierowała cały swój wysiłek i nastawiła aparat własnych agentów na ścisłą inwigilację attaché rosyjskich w Wiedniu. Moskale, wiedząc o tem, nie powierzali specjalnych zadań attaché, wiedząc,



Pułk. Cankiewicz, attache rosyjski w Wiedniu.

że prędzej, czy później, wszelka „robota" będzie ujawniona. To też attaché rosyjscy w Wiedniu nie cieszą się nigdy długowiecznością na swych stanowiskach. Jednym z charakterystycznych przykładów niech nam posłuży afera pułkownika Cankiewicza.

Pułkownik Cankiewicz, którego głównym zadaniem jako wojskowego przedstawiciela w Austrji, było szpiegowanie armji austrjackiej, wszedł w kontakt ze spensjonowanym feld.eblem Arturem Ickuszem. Wywiadowca defensywy austrjackiej, podporucznik Jakob, którego zadaniem było śledzenie każdego kroku pułkownika Cankiewicza, stwierdził, że ten ostatni jest częstym gościem Ickusza, przyczem każdą swą wizytę, stara się otoczyć tajemniczością. Po aresztowaniu Ickusza, wykryto całe gniazdo szpiegowskie, którego zadaniem było dostarczenie dokumentów mobilizacyjnych, oraz stanu uzbrojenia i umundurowania VIII korpusu, w Pradze Czeskiej. W ręce defensywy austrjackiej, prócz kompromitującej korespondencji z pułkownikiem Cankiewiczem, wpadli szpiedzy: Julius Petrić, Florjan Lindner i niejaki Haschek. Na skutek interwencji ministra spraw zagranicznych hrabiego Berchtolda, pułkownik Cankiewicz został odwołany.

Tego rodzaju afery szpiegowskie nie martwiły Rosjan. Przeciwnie, były im nawet na rękę, ponieważ kompromitacja jednej, czy dwóch osób zajmowała cały aparat defensywy austrackiej i odciągała najlepszych ich agentów od właściwej roboty szpiegowskiej, prowadzonej nieoficjalnie, z ukrycia. Moskale posuwali się nawet znacznie dalej. Sami organizowali prowokacyjne demaskowanie szpiegów, zaopatrzonych w błędne instrukcje i fałszywe dokumenty.

(D. c. n.)

Letnie wycieczki Week-end

...Oczywiście i wczesną wiosną jeździło się tam od czasu do czasu. Przyjemnie było także posiedzieć chwilę na tarasie w porze obiadowej. Ale prawdziwie przyjemny jest powrót do miejsca, z którem wiąże nas wiele mile spędzonych godzin, w pierwszy słoneczny ciepły dzień wiosenny, jaki można przebyć na łonie natury. Ach! wieleż tam jeszcze dokupić. Może kilka firanek, barwnych poduszek, obicie na szezlong, kolorowe serwety — a zresztą, czyż można wszystko przewidzieć. W każdym razie zachowajcie w pamięci, że barwne przedmioty z lnu, bawełny, bądź też sztucznego jedwabiu, które narażone są na działanie promieni słonecznych, a częstokroć i deszczu, muszą być farbowana barwnikami indanthrenowemi. W przeciwnym raiez przedmioty te płowieją, ścierają się i tracą kolor po praniu, jeszcze przed rozpoczęciem lata.

Ku Norwegji

Ku krajowi północnego słońca kierują się dziękczynienia wielu podróżnych, z chwilą nadejścia lata. Cudowne, jasne noce norwegskie są zjawiskiem pełnem fascynującego czaru. Norwegskie wody, podczas tych letnich nocy wrą ożywionym ruchem: niezliczone eskadry łodzi, wielkiej norwegskiej fabryki konserw, krążą po kryształowych falach fjordów i przywożą bogatą zdobycz. Zdobyczą tą są norwegskie śledzie, które, przygotowane w sposób hygieniczny, zostają wysyłane do wszystkich krajów, a także do Polski, i dzięki swym naturalnym wartościom odżywczym, stanowią smaczny i zdrowy posiłek.

Rośliny myślą...

(Dalszy ciąg ze str. 9-tej)

nasze wynalazki w tej dziedzinie są tworami stosunkowo niedawnemi — wynalazki zaś roślin istnieją od miljonów lat! Nasze naprzykład dzikie storczyki europejskie, które zbadał i opisał Karol Darwin, potrafiły na sekundy obliczyć czas, potrzebny owadowi na wyssanie nektaru i przelot do następnego kwiatu. Umieją one nadto — niby doświadczony chemik — wytwarzać dwa rodzaje kleju: jeden z nich schnie niezwłocznie na powietrzu i ten służy do przyklejania rożków z pyłkiem na głowie owadu; drugi, nieschnący, rozluźnia nitki otaczające pyłek. A cóż mamy rzec o najnowszych badaniach Gastona Bonnier, który stwierdza, że każdy kwiat wydziela toksyny, zabijające pyłek obcy i dlatego niemożliwe byłoby skrzyżowanie lilji z różą, jak w świecie zwierzęcym nie do pomyślenia byłoby potomstwo jelenia i zebry.

Zbyt dużo zabrałyby nam czasu opisy owych zdumiewających urządzeń wewnętrznych kwiatu, poprzestańmy więc na jednym tylko storczyku amerykańskim. Owad wchodzi do wnętrza kwiatu, ale zaledwie dotknął płatków różkami, pęka komórka i wyskakuje z niej krążek mazisty, z dwoma pękami pyłku. Wyrzucony sprężyną krążek uderza w łepek owadu, przykleja się doń i oszołomiony uderzeniem owad ucieka z niegościnnego kwiatu na inny. O to przecież chodziło amerykańskiemu storczykowi.

Jeśli wynalazczością swą zdumiewają nas kwiaty naszych ogrodów i łąk, o ileż bardziej zdumiewać się można inwencją roślin wodnych. Trawa morska, tak zwana alga, chroni swój kwiat w dzwonie nurkowym. Kwiaty nenufarów unoszą się na powierzchni wody, a łodygi wydłużają się w miarę, jak poziom wody się podnosi. Żabiskrzek, rosnący na dnie jezior i stawów, posiada woreczki pod liśćmi, które w okresie kwitnienia wypełniają się powietrzem i unoszą roślinę na powierzchnię wody. Po okwitnieniu, gdy owoc zaczyna się rozwijać, woreczki te napełniają się wodą i żabiskrzek opada na dno. Marynarz stwierdzi tu bez wahania, że urządzenie żabiegoskrzeku jest identyczne z urządzeniem łodzi podwodnej.

Badanie życia roślin trwa od lat pięćdziesięciu zaledwie. Stawiamy dopiero pierwsze kroki, wkraczając w świat, różny zewnętrznemi formami życia od naszego. Nie wiemy nic jeszcze naprzykład o woni kwiatów, której najzdolniejszy chemik nie potrafi naśladować. Woń ta nie służy do nęcenia owadów, bo większość silnie pachnących kwiatów obywa się bez krzyżowania, a owady unikają raczej róż i goździków, cisnąc się tłumnie do kwiatów klonu lub leszczyny. Jest to więc — jak się narazie wydaje — zbytek jakiś bezużyteczny, ale czyż i my sami nie lubujemy się również w nieużytecznym zbytku?

Wszystko więc, czegośmy się dotąd dowiedzieli o życiu roślin, streścićby się dało w zdaniu, że i roślina również jest tworem, który w każdej fazie swego istnienia zdradza celową myśl, w którego życiu rysuje się wyraziście wola trwania i przetrwania.

Jeśli więc czcimy genjusz ludzki, jeśli żywimy podziw dla stworzonych przez nas cudów techniki, — nie sądźmy, byśmy się dzięki nim wznieśli na jakiś najwyższy szczebel, niedostępny dla innych tworów Natury. Nie jesteśmy bynajmniej uprzywilejowanymi wybrańcami, a tylką cząstką stworzenia, którem rządzi Najgłębsza, niezbadana przez nas Mądrość, czuwająca zarówno nad kwiatem łąkowym, jak i nad najpotężniejszym z królów.

Godne pochwały

O niezwykłej ruchliwości znanej placówko wydawniczej „Rój" świadczy fakt, iż firma ta wydała na przyjazd do Warszawy wielkiego pisarza angielskiego, Johna Galsworthy'ego, najpoważniejszego kandydata do nagrody im. Nobla, epokowe jego dzieło p. t.

„SAGA RODU FORSYTÓW".

Szczegółową recenzję o wyjątkowo pięknem tem wydawnictwie podamy w jednym z najbliższych numerów.

Z pobytu min. Grandie'go w Warszawie

W towarzystwie ambasadora włoskiego w Warszawie hr. Martina Franklina zwiedził min. Grandi między innemi również nowowybudowany gmach włoskiego tow. ubezpieczeń „Riunione Adriatica di Sicurta" przy ul. Moniuszki 10, na którym powiewały od chwili przyjazdu Ministra do Stolicy flagi państwowe włoskie. Dostojnego gościa oprowadzali po biurach tow. pp. dyr. cav. Marceli Frydman, Leon Kopytowski, Inż. Benesz Fr., Dr. Robert Deutsch i Dr. G. Firnej, na którego krótkie przemówienie powitalne p. min. Grandi odpowiadając wyraził się w słowach pełnych zachwytu o nowopowstałym gmachu Towarzystwa, który zdaniem min. jest jeszcze jednym dowodem utrwalającej się przyjaźni polsko-włoskiej. Na zakończenie wpisał się min. Grandi do Złotej Księgi Towarzystwa.



Równie piękna, jak utalentowana p. Lipkowska, w „Święcie ognia".
(fot. Malarski)

Najświeższe impresje teatralne



Urocza artystka filmowa, Betty Amann, która występuje obecnie w Warszawie, obok Bogusława Samborskiego, nie wychodzi inaczej na ulicę, jak w otoczeniu licznego orszaku wielbicieli
(fot. J. Malarski)

TEATR WIELKI. „Święto ognia", balet-opera w 4 aktach. Libretto Marjana Prażmowskiego. Muzyka Zygmunta Noskowskiego. Choreografja układu baletmistrza Piotra Zajlicha.

Bardzo na czasie wznowiono „Święto ognia". Nadchodzi przecież noc świętojańska (taki podtytuł miał nawet ten balet na premjerze przed 28 laty), sobótki i wogóle... Teatr Wielki spełnił swój obowiązek. I taki sumienny teatr chcą zamknąć. Bardzo niesłusznie. Zamykać cały teatr dlatego, że to lub owo niezupełnie jest w porządku — to przesada. Wystarczy zamknąć winowajców nieporządku i już. Ze swej strony polecalibyśmy takie wycofanie z obiegu niektórych baletmistrzów. Posprowadzać innych z szerokiego świata... nie cudzoziemców, broń Boże, dość ich mieliśmy w balecie przez półtora wieku... Swoich, wychowanków tutejszej szkoły baletowej, święcących tryumfy po świecie. Cieplińskiego, Wójcikowskiego i innych, ludzi młodych, energicznych, otrzaskanych ze światem, którzy odświeżyliby nieco atmosferę tutejszego baletu.

„Święto ognia" pokazało nam raz jeszcze, jakim bezcennym ,a niespożytkowanym skarbem jest zespół baletu warszawskiego. I jak niedołężne jest jego kierownictwo. Nie mówię już o wielkościach znanych i uznanych, jak Szmolcówna i Szymańska, Dąbrowski i Baliszewski, ale gdzie to jeszcze w Europie są tancerki i tancerze o takich talentach i wpojonych tradycjach klasycznych, jak: Karczmarewiczówna, Leitzkówna, Lipkowska, Szatkowska, Kopiński, Matuszewski?... Gdzie taki zdolny narybek, jak: Łukasiewiczówna, Nobisówna, Nowicka i wiele innych?...

Mając takie siły artystyczne i tak sknocić spektakl? Czy to się godzi? Oddaję tę sprawę pod sąd publiczności. Proszę iść (warto, wrażenie czysto wzrokowe z pewnością będzie dodatnie) i powiedzieć mi, czy nie mam racji...

H. L.

TEATR LETNI. „Wysoka stawka". Krotochwila Wincentego Rapackiego (syna). Reżyserja Dyr. E. Chaberskiego. Dekoracje A. Aleksandrowicza.

Bywa tak, że to, co się dzieje na widowni, daje pole do znacznie ciekawszych obserwacji, niż to, co się rozgrywa na scenie. Tak było i tym razem. Nie wiem, jak na następnych przedstawieniach, ale na premjerze zebrała się publiczność dziwnie antyfeministyczna, albo może raczej tylko... antymatrymonjalna. Bo ile razy ze sceny padło jakieś słowo przeciw żonie, tyle razy wybuchały spontaniczne oklaski. Pomysł sprzedania własnej żony w karty uznano za bardzo dobry. Podobno już w klubach zgłosiło się szereg amatorów... przegrania swej żony...

Słuchając tych oklasków, rzekłem do mej sąsiadki, czarującej blondyneczki: „Głos narodu to głos Boga, usłuchaj go, Wisiu droga... Nie wychodź zamąż. Nie warto. Oddasz swą rączkę i równie śliczną resztę jakiemu dryblasowi, a ten potem przegra cię w karty... I dobrze jeszcze, jeżeli wówczas już będziesz miała taką uroczą córeczkę, jak Majdrowiczówna, która zechce zastąpić cię w roli „stawki", dobrze też, jeżeli wygrywający będzie chłopaczkiem tak przystojnym, młodym i bogatym, jak ten, którego gra Łuszczewski, ale przecież może być i gorzej... Więc lepiej już bądź łaskawa nadal tak, jak dotychczas, to znaczy bez tego, żeby zaraz ślub..."

Ponieważ nie wątpię, że moja światła rada zostanie wysłuchana, a stąd dla ludzkości będzie przyjemność niemała, niechże więc kto teraz ośmieli się powiedzieć, że sztuki Rapackiego nie należało wystawiać? Przeciwnie, jeżeli tylko co wieczór dzięki tej sztuce choć jedno urocze dziewczę zostanie w ten sposób nawrócone, korzyść dla społeczeństwa będzie niewątpliwa.

Wogóle ten Rapacki to chytra sztuka. Jak to przemyślnie skonstruował afisz! Same tylko imiona i dwa nazwiska (z tych jedno bez imienia). Otóż jeżeliby jaki szkodnik pododawał do imion nazwiska ,a co gorsza, kto jest czyim mężem, żoną i t. d., cała sztuka nie miałaby najmniejszego sensu, bo wszystko byłoby wiadomo zgóry. Na afiszu trzyma się cała sztuka, a czy długo się na nim utrzyma, to się okaże...

Grana jest dobrze. Gellówna jest żywym żurnalem mód, Majdrowiczówna przypomina swą najlepszą kreację w „Dzikiej kaczce" (ktoby to pomyślał, że to już przecie 10 lat temu, a wydaje się, jakby to było wczoraj...), Chaveau — i owszem, Lenerówna też, Łuszczewski jest przemiły, Hnydziński siwy, Dobrowolska — daj Boże każdemu taką pokojówkę... Może być, zresztą, i nie pokojówka, aby była taka...

Henryk Liński.



P. Szmolcówna i Dąbrowski stworzyli przepiękny duet taneczny w balecie p. t. „Święto ognia" (muzyka Zygmunta Noskowskiego)
(fot. J. Malarski)

ROZRYWKI UMYSŁOWE

METAMORFOZY.

Metamorfoza polega na zmienianiu po jednej literze danego słowa tak, aby zmienić wreszcie wszystkie litery i każdą tylko jeden raz i tworzyć przytem ciągle nowe słowa np. kat, kot, pot, por. Z liter słowa kat zostały zmienione wszystkie (pierwsza, druga i trzecia w dowolnym porządku i za każdym razem powstawało nowe słowo, aż wreszcie utworzył się wyraz, którego wszystkie litery powstały z przemian). Albo np. Rodak, Kodak, Kozak, Krzak, Krzyk, Krzyż.

Dla ułatwienia podajemy oprócz pierwszego słowa również końcowe słowo. Uboczne rozwiązania liczą się narówni z naszem. Poniżej umieszczamy dwie nowe metamorfozy Coturnixa, ułożone specjalnie dla „7 dni".

K	U	R	S	K
B	A	N	A	N

T	R	E	M	O
O	B	A	W	A

NAGRODY.

Za rozwiązanie obu metamorfoz Coturnixa przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 złotych

oraz 2 książki beletrystyczne. Rozwiązania nadsyłać należy p. a. redakcji do dnia 2 lipca b. r.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z N-ru 22.

K	A	S	Z	T	A
A	R	O	M	A	T
B	E	K	O	N	■
I	N	■	R	I	K
N	D	■	A	N	O
A	A	R	■	A	K

NAGRODY.

Za rozwiązanie krzyżówki z N-ru 22 otrzymują pp. H Mokrzycka, Drohobycz, ul. Polna 16, Maciej Żurowski, Płock, ul. Dobrzyńska 41; S. Michalski, Łuniniec; Witold Religioni, Warszawa - Praga, ul. Białostocka 23 m. 4; Zdzisław Fischbach, Ostrów Pozn., ul. Kościelna 5.

NAGRODY.

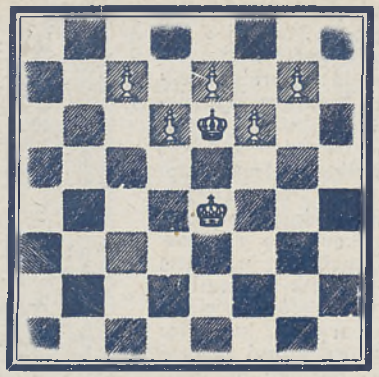
Za rozwiązanie „jajka Kolumba" otrzymuje p. Czesław Kozłowski — 3 książki beletrystyczne.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Czytelniczce z Warszawy. Zamieszczamy, o ile nadają się do druku.

P. p. L. Finkel i J. Sowa. Logogryf dobry, ale nieaktualny.

SZACHY.



Mat w 3-ch posunięciach.

Z. DROMLEWICZOWA.

Przegląd filmowy

W „sidłach kłamstwa", „Maski Erwina Reinera".

Pomimo t. zw. sezonu „ogórkowego" posiadamy obecnie na ekranach warszawskich filmy wcale dobre a nawet niektóre bardzo dobre. Do tych należy w pierwszym rzędzie film „W sidłach kłamstwa" grany w „Stylowym". Jest to jeden z ładniejszych filmów Janningsa, świetnie grany, bardzo ciekawy scenarjuszowo i reżysersko. Jednem słowem film o wysokim poziomie artystycznym, trzymający przez cały czas widza w napięciu. Janningsowi możemy wprawdzie zarzucić, że często powtarza samego siebie, że wiele jego sposobów gry przypomina nam mimowoli poprzednie jego filmy, tem nie mniej gra jego nie staje się przez to mniej wartościową,zwłaszcza, że po filmach, w których rola aktora jest prawie zupełnie zniwelowana, czuje się tem silniej w obrazach Janningsa jego twórczą indywidualność. Prócz Janningsa gra w tym filmie i gra bardzo ciekawie Cooper, oraz Estera Ralston, której głównym atutem zresztą jest wdzięk i uroda. W nadprogramie wyświetlana humoreska Fleischera, którego dowcip jest doprawdy niewyczerpany.

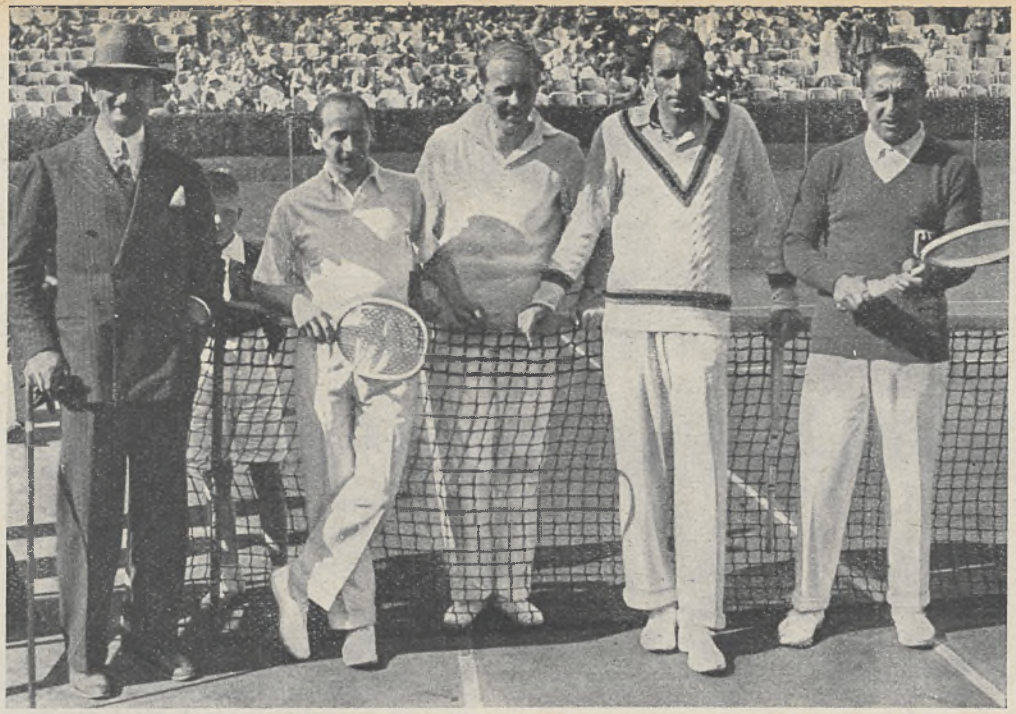
Dosyć dobrym filmem jest obraz „Maski Erwina Reinera", według powieści Wassermana. W przeróbkach powieściowych tkwi zawsze to samo niebezpieczeństwo zmiany koniecznej, lub mimowolnej, która zawsze tak samo powoduje rozczarowanie widza. Słusznie, czy niesłusznie czytelnik powieści chce ją ujrzeć na ekranie, taką jaką była podczas czytania. Chce ujrzeć bohaterów powieści takimi, jakimi byli w książce, a raczej takimi, jakimi ich sobie podczas czytania wyobraził.

Na wstępie wielkiego sezonu tennisowego 1930

Międzynarodowy sezon tennisowy posiada trzy punkty kulminacyjne. Pierwszym jest turniej o mistrzostwo Francji w Paryżu, drugim — takiż turniej o mistrzostwo Anglji w Wimbledon pod Londynem, trzeci wreszcie stanowią końcowe mecze wielkiego drużynowego turnieju o Puhar Davisa.

Przed tygodniem właśnie zostały ukończone mistrzostwa Francji z udziałem prawie wszystkich najlepszych tennisistów świata. Wyniki paryskie są więc podstawą, na której opieramy nasze poglądy na tegoroczne ustosunkowanie sił w świecie tennisowym oraz nasze horoskopy na przyszłość.

Mistrzostwa Francji dowiodły przedewszystkiem niezbicie, że najlepszym tennisistą świata jest Henri Cochet. Zdarza się to poraz pierwszy od kilku lat, że z taką stanowczością można przyznać komuś pierwsze miejsce. Dotychczas wymieniało się zwykle dwóch, albo trzech najlepszych. Stanowisko Cocheta mogłoby się zachwiać tylko w jednym wypadku, a mianowicie, gdyby wielki René Lacoste powrócił do zdrowia i zjawił się znów na korcie, czego mu zresztą życzą z całego serca wszyscy tennisiści świata.



Mistrzowie światowi rakiety (od lewej ku prawej): Mishu, Kleinschrodt, Worms i Tilden.

Cochet pobił w finale Tildena, trzydziestoośmioletniego mistrza Stanów Zjednoczonych, tennisistę o zdumiewającej wprost długotrwałości formy. William Tilden był w ciągu sześciu, czy siedmiu lat niezaprzeczenie najlepszym tennisistą na świecie, co już jest zjawiskiem fenomenalnem. Około 1927 roku musiał ustąpić miejsca dwum Francuzom: Cochetowi i Lacoste'owi. Przegrywał nawet z Borotrą. Uważano powszechnie, że nadszedł koniec Tildena. Tymczasem dziś, w roku 1930, stary Tilden zajmuje murowane drugie miejsce. Uległ tylko Cochetowi, Borotrę pobił w półfinale, inni zaś wogóle się nie liczą. W drugim półfinale Cochet pokonał łatwo mistrza Włoch, de Morpurgo. W ćwierćfinałach Cochet pobił niespodziewanie dobrego Australijczyka, Hopmana, de Morpurgo — drugiego Australijczyka Moona, Borotra — świetnego angielskiego doublistę Gregory'ego, Tilden zaś mistrza Irlandji — Rogersa. Z wcześniejszych wyników należy wymienić zwycięstwo Hopmana nad doskonałym Anglikiem Lee i Japończykiem Haradą, de Morpurgo'a nad Amerykaninem Coenem i Japończykiem Abe, Borotry nad Japończykiem Ohta, wreszcie Gregory'ego nad Niemcem Prennem. Do wyników dość niespodziewanych należą szybkie stosunkowo porażki Japończyków i wyjątkowo dobre wyniki starego de Morpurgo.

W grze podwójnej do półfinałów doszły dwie pary australijskie: Willard — Hopman (po pobiciu Anglików Gregory — Collins) i Moon — Crawford (po pobiciu drugiej pary angielskiej Lee — Hughes), oraz dwie francuskie: Borotra — Buzelt (pokonali Tildena — Coena) i Cochet — Brugnon) (pobili Japończyków Harada — Abe). W półfinałach Willard — Hopman pokonali Borotrę — Buzeleta, podczas gdy Cochet — Brugnon zwyciężyli parę Moon — Crawford. W finale mistrzowski double Francji Cochet — Brugnon, pobił Wallarda — Hopmana. Turniej ten dowiódł przedewszystkiem 2-ch rzeczy: że double'e australijskie są silniejsze, niż to można było przypuszczać i że niema takiej pary, która mogłaby ich lekceważyć oraz że jedynym double'em groźnym dla Cocheta — Brugnona, mogą być nieobecni w Paryżu młodzi Amerykanie, Allison — van Ryn.



Autoportret mistrzyni tenisu — p. Moody (z domu Wills).

W grze pojedyńczej pań triumfowała bezapelacyjnie urocza Kalifornijka Mrs. Moody, znana na całym świecie jako miss Helen Wills. Pierwszym wielkim sukcesem Helen, było zdobycie mistrzostwa Olimpjady Paryskiej w r. 1924, lecz prawdziwa jej sława datuje od dnia 16 lutego 1926 r., w którym to dniu dwudziestoletnia Helen została... pobita w Cannes przez Zuzannę Lenglen w stosunku 3:6 6:8. Więcej już z sobą nie grały. Suzanne wkrótce potem została profesjonalistką, a Helen — mistrzynią świata. Mimo że z pewnością nigdy nie osiągnęła poziomu fenomenalnej Suzanne, dziś pani Moody nie ma równej sobie. W turnieju paryskim w ćwierć finale Wills pobiła Niemkę Rost, druga zaś Niemka, świetna Cilly Aussem, pokonała czerdziestoletnią przeszło Amerykankę, Miss Ryan, tennisistkę niezwykle rutynowaną. Pozatem piękna mistrzyni Hiszpanji, Senorita Lili de Alvarez, pobiła Francuskę, panią Mathieu, a Amerykanka Jacobs, zwyciężyła Angielkę Watson. W półfinale Wills pokonała Aussem, a Jacobs dość nieoczekiwanie — Senoritę. W finale spotkały się więc dwie Amerykanki: Wills z łatwością zwyciężyła Jacobs.

W finale gry podwójnej pań, Amerykanki Wills — Ryan zwyciężyły lekko Francuski Mathieu — Barbier. W półfinałach obie te pary wyeliminowały pary angielskie: Wills — Ryan pobiły Hervey — Fry, zaś Mathieu — Barbier pokonały Watson — Round. Mimo tych wyników trudno przypuścić, aby para Mathieu — Barbier nie miała lepszych od siebie, z wyjątkiem Wills — Ryan. Niewiadomo chociażby, coby było, gdyby Francuski spotkały w półfinale drugą parę Angielek, t. zn. Hervey — Fry. Supremacja pary Wills — Ryan jest natomiast niewątpliwa.

W grze mieszanej do półfinałów doszli: świetny mixte angielsko-francuski Bennett — Cochet, również świetny niemiecko-amerykański Aussem — Tilden, amerykańsko-francuski Ryan — Borotra i angielski Watson — Gregory. W finale Aussem — Tilden pokonali Bennet — Cochet, co zresztą







Pani Moody jest mistrzynią nietylko we władaniu rakietą, gdyż chętnie również czas swój poświęca sztuce. Oto trzy próbki jej talentu — szkice na korcie, portrety Cilly Aussem, Miss Bennett i Miss Goldsack.

jest w dużym stopniu wytłomaczone chorobą Miss Bennett.

Za parę tygodni wszyscy ci wirtuozi tennisa spotkają się na trawiastych kortach Wimbledonu, aby walczyć o tytuły mistrzów Anglji, uważane od pięćdziesięciu lat za nieoficjalne tytuły mistrzów świata. Oczywiście ,że wyniki muszą być podobne do paryskich, pewne jednak zmiany wynikną chociażby z udziału tych tennisistów, których brakowało w Paryżu. Trudno sobie wyobrazić, aby Cochet nie miał zdobyć pierwszego miejsca, drugie jednakże, pomimo wszystko, może wydrzeć Tildenowi nieobliczalny Borotra. Zależy to zresztą i od losowania. Dużo będzie miał do powiedzenia młody, niezwykle zdolny gracz angielski Austin, jeśli weźmie udział w turnieju. Niewiele mu obecnie ustępujący Lee powinien również zajść dalej, niż w Paryżu. Należy oczekiwać lepszych wyników od graczy japońskich, zwłaszcza od świetnego Harady. Duże sukcesy powinni w dalszym ciągu osiągnąć Australijczycy Hopman, Moon i Crawford, Amerykanie, jak Coen i Lott, Irlandczyk Rogers, Niemcy Landmann i Prenn, wreszcie zawsze jeszcze de Morpurgo.

W dziedzinie gier podwójnych należy się spodziewać zwycięstwa pierwszorzędnego double'a amerykańskiego Allison — van Ryn, jednakże po bardzo ciężkiej walce z Cochetem — Brugnonem, Anglikami Gregory — Collins lub jednym z zespołów australijskich.

W konkurencji pań pierwszeństwo Helen Wills jest conajmniej tak pewne, jak stanowisko Cocheta. O następne miejsca rozegra się walka między Miss Ryan, Fraulein Aussem, Senoritą de Alvarez, a ponadto młodą Angielką Betty Nuthall, uważaną przez Anglików, podobnie jak Austin, za przyszłą mistrzynię świata. Nie należy również zapominać o jeszcze młodszej, tegorocznej sławie angielskiej — Miss Round, która nie osiągnęła jeszcze wyników przekonywujących, ma być jednak fenomenalna, oraz o paru innych Angielkach, jak Watson, Bennet, Fry, Ridley. Można też zawsze oczekiwać sukcesów Miss Heine z Południowej Afryki, oraz paru Amerykanek z młodziutką gwiazdą w rodzaju Round — Miss Sarah Palfrey.

W grze podwójnej pań największe szanse posiadają oczywiście Wills — Ryan. Zaraz za niemi znaleźć się powinny pary angielskie, jak Harvey — Fry, lub Watson — Round. Można oczekiwać niespodzianek od par amerykańskich.

W grze mieszanej wyniki trudne są do przewidzenia, gdyż niewiadomo, jakie zespoły wystąpią. Kombinacje Bennett — Cochet, czy Aussem — Tilden, zawsze jednak będą należały do najsilniejszych. Są tu zresztą możliwe niespodzianki amerykańskie, podobnie jak w double'u pań, choćby w postaci mixte'a z udziałem Wills.

W Puharze Davisa od paru już tygodni walczą 24 państwa w strefie europejskiej i kilka w strefie amerykańskiej. Jedno spotkanie pierwszorzędnej wagi zostało już rozegrane: oto świetna drużyna niemiecka, która w zeszłym roku zdobyła mistrzostwo strefy, bijąc w finale Anglików, została obecnie przez tychże pobita w pierwszej rundzie. Nawiasem mówiąc, trudno o większego pecha w losowaniu, jak ten, który spotkał Niemców.

Rozgrywki strefy europejskiej nigdy chyba jeszcze nie były tak interesujące, jak w tym roku. Przyczyną tego jest udział dwuch bardzo silnych, egzotycznych drużyn: japońskiej i australijskiej. W tych dniach właśnie Australja ma się spotkać z Anglją. Wynik tego meczu trudny jest do odgadnięcia. Australijczyk Hopman pobił w Paryżu jednego z puharowych reprezentantów Anglji — Lee. Double angielski również uległ australijskiemu, lecz po zaciętej i zupełnie równej walce. Drugim singlistą angielskim ma być jednakże świetny Austin. Zważywszy to wszystko, szane Autralji zdają się być większe. W razie ewentualnego zwycięstwa Australja spotyka w półfinale Włochy, które powinna pokonać, w finale zaś Japonję. Spotkanie to jest takim samym znakiem zapytania, jak mecz Anglja — Australja. Tu jednak również raczej należy oczekiwać zwycięstwa Australji, wobec niezbyt świetnych wyników japońskich w Paryżu, zwłaszcza wobec zwycięstwa Hopmana nad Haradą. Przypuśćmy więc, ze wszelkiemi zastrzeżeniami, że Australijczycy zostaną mistrzami strefy europejskiej. Czeka ich wówczas finał międzystrefowy, a więc walka z drużyną Stanów Zjednoczonych. Tu sytuacja jest dość jasna. Jeśli wielki Tilden weźmie udział w grze, to dwie gry pojedyńcze są dla Australijczyków bezwzględnie stracone. W grze zaś podwójnej Willard — Hopman będą musieli ulec młodej, doskonałej parze Allison — van Ryn. Wobec takiego stanu rzeczy Australja może w najlepszym razie liczyć na przegraną w stosunku 2:3.

Tak więc finał międzystrefowy wygrać powinni Amerykanie, zajmując w ten sposób pierwsze miejsce w wielkim światowym turnieju. Wówczas zaś nadejdzie chwila ostatecznej walki o Puhar Davisa, walki na śmierć i życie z niezrównanymi tennisistami francuskimi, którzy od dwuch już lat są posiadaczami Puharu. Trudno przypuścić, aby w tym roku dali go sobie wydrzeć. Cochet powinien wygrać z Tildenem, jego zaś zwycięstwo nad drugim singlistą amerykańskim jest pewnikiem. Trudno również przypuścić, aby Borotra przegrał z owym drugim singlistą, czy to będzie Lott czy Coen. Tak więc Francja miałaby trzy zwycięstwa zapewnione. Gra Borotry z Tildenem zawsze była i nadal jest loterją. Tylko w double'u Amerykanie mogą liczyć na zwycięstwo Allisona — van Ryna nad Cochetem — Brugnonem i to po bardzo ciężkiej walce. Francja powinna więc wygrać mecz w stosunku 4:1, lub 3:2, zatrzymując drogocenny Puhar na trzeci rok u siebie i przekonywując świat poraz trzeci, że jest niezwyciężona.

OBRAZKI SĄDOWE.

DOBRODZIEJ

Nazywa się Michalczyk.

Szczególny okaz dobrodziejstwa, który nie lubi swych cnót na pokaz wystawiać, kryje się z niemi nawet w obliczu sądu.

Gdyby nie prokurator — do dziś nie wiedzielibyśmy, co za skarby ukrywa skromna powierzchowność pana Michalczyka.

Ale po kolei:

Był sobie pan Michalczyk w stosunkach handlowych z panem Frankowskim.

Obroty, tranzakcje, weksle.

Jeden z takich weksli spoczywał w kieszeni pana Michalczyka, stwierdzając dług Frankowskiego. „Spoczywał" rozumiemy dosłownie, bowiem posiadał wartość jedynie potencjalną, Frankowski nie był go w stanie zapłacić.

Ot — ciężkie czasy.

Michalczyk nalegał, piłował, męczył, wreszcie, dając przyjść do głosu swemu złotemu sercu, rzecze do Frankowskiego:

— Co tam, panie dzieju, złe czasy, ja to rozumiem, sprolonguję ci te weksle, nie będę cię więcej męczył...

— O, bracie, dobrodzieju — rozpłakał się Frankowski — poczciwa z ciebie dusza, nie chcesz gubić człowieka....

I omal że nie buchnął Michalczyka w oba rumiane policzki.

— Ale — ciągnie Michalczyk — musisz mi wystawić inny weksel na 1000 złotych...

— Ależ najchętniej, dobrodzieju kochany, nawet 10 weksli po 100...

— I ten weksel ty swoim nazwiskiem zażyrujesz, a jako wystawcę podpiszesz nie siebie, ale jakąś inną osobę, no, choćby „Bukowskiego" — zgoda?

Spojrzał Frankowski na dobrodzieja, coś mu się nieswojo zrobiło, ale że termin płatności miał nastąpić dopiero za parę miesięcy, a Michalczyk tak poczciwie, tak przekonywująco namawiał, więc weksel wypisał.

I oto wypełnił się stan faktyczny przestępstwa z art. 440 kodeksu karnego.

A djabeł cyrograf obejrzał, chuchnął, zabrał i schował do portfelu.

Czas płynął.

Zbliża się termin płatności sfałszowanego wekslu.

— Zapłacisz? — pyta Michalczyk, uśmiechając się dobrotliwie.

— Ciężkie czasy — odpowiada znowu Frankowski — skąd wezmę, kiedy nie mam....

— Jak chcesz — odpowiada Michalczyk, — ale wiedz, teraz to już nie żarty, sfałszowałeś weksel, sprawa karna.... będziesz siedział... zapłać, to się nie wyda.

Mrowie przeszło Frankowskiego.

Teraz dopiero zrozumiał dobrodzieja.

Skąd tu wydostać tysiąc złotych?

Napróżno miotał się, tu i tam biegał, przyjaciele znikli jak kamfora: gotówki nie otrzymał.

Wydało się.

Przyznał się Frankowski do wszystkiego, ale kiedy w policji opowiadać zaczął o djable, co to mu cyrograf podpisać kazał, wyśmiali go.

Nie uwierzyli.

I zasiadł Frankowski na ławie oskarżonych.

Godzinę niemal całą wypytywał prokurator Lemkin Michalczyka.

Aż wreszcie, kiedy zostało ustalone, że weksel został przez Frankowskiego wypisany w obecności Michalczyka, że ten wierzyciel wiedział doskonale o całej machinacji — wydało się wszystko.

I oto oskarżenie swem szerokiem ramieniem objęło oprócz Frankowskiego, także Michalczyka.

Współdziałał w fałszerstwie weksli.

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (23)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W Monte Carlo odbywa się Kongres Wielkiego Traktatu Narodów, na którym postanowiono zaprosić Amerykę do udziału w pracach. Misję tą powierzono Grantowi Slattery. Jednakże, na terenie amerykańskim bruździą mu Niemcy i Japończycy, w osobach niejakiego Korneljusza Blunna i hr. Stasha. Grant udaje się w podróż do Londynu, do premjera Wielkiej Brytanji, lorda Yeovil. Po audjencji u tego ostatniego, zostaje zaproszony na przyjęcie prywatne.

Przypadkowo znalazł się sam na sam z Zuzanną, gdyż admirał wyprzedził ich o kilka kroków. Szła obok niego, nucąc jakąś piosenkę, wesoła i roześmiana.

— Lady Zuzanno — rzekł Grant nieco przyciszonym głosem — czy pani przypomina sobie nasze pożegnanie w Monte Carlo i to, co pani wtedy mówiłem?

Spojrzała na niego z lekko podniesionemi w górę brwiami:

— Sądzę, że to był przejściowy u pana sentyment.

Nagle dostrzegła poważny i skupiony wyraz twarzy Granta.

— Muszę pana o coś zapytać, chociaż uświadamiam sobie całkowicie niewłaściwość mojej ciekawości. Jednak zadam panu to pytanie. Czy księżna von Dirs towarzyszyła panu w podróży z Monte Carlo do Ameryki?

— Tak jest — odpowiedział.

— A czy była również i pasażerką na okręcie, którym przybył pan wczoraj do Londynu?

— Tak jest, ale...

— Dosyć, panie Slattery — prosiła. — Z przykrością zadawałam panu te pytania, ale wiedziałam, że nie będzie tu żadnego nieporozumienia. Nie chciałabym posprzeczać się z panem. Uważałam pana w Monte Carlo za nader miłego towarzysza. Mam nadzieję, że i nadal będziemy przyjaciółmi. Proszę jedynie, aby nie zechciał pan robić żadnych aluzji do naszej ostatniej rozmowy w Monte Carlo. Będzie to dla mnie obrazą. Angela! — zwróciła się do przechodzącej młodej dziewczyny. — Chciałabym przedstawić ci pana Slattery, Amerykanina. Ma wielką ochotę tańczyć. Chciał mnie właśnie niedawno nauczyć pewnych skomplikowanych pas, ale nie jestem dosyć pojętna. Proszę cię, Angie, nie strać przy okazji serca. Pan Slattery lubi prawić czułe słowa młodym dziewczętom, lecz potem ucieka z mężatkami. Zapomniałam podziękować panu za śliczne róże. Dowidzenia. Muszę wrócić na me stanowisko.

Grant podał ramię przystojnej, młodziutkiej panience, którą przedstawiła mu Zuzanna.

— Musimy słuchać rozkazów — rzekła.

— Tak jest, ale tylko częściowo. O reszcie niech pani nie myśli — odpowiedział trochę zasmucony.

Uśmiechnęła się do swego nieco ponurego towarzysza. Może będzie interesujący?

— Zobaczymy, jakie są te pańskie skomplikowane kroki? — rzekła z uśmiechem.

ROZDZIAŁ XLI.

Ogarnęły Granta jakieś dziwne przeczucia, gdy pierwszego dnia po wyruszeniu z Southampton spotkał na pokładzie Blunna w dziwnym stanie przygnębienia, chorego i zbiedzonego. Podróże morskie najwyraźniej nie służyły mu. Leżał znowu w swym luksusowym apartamencie i przywołał Granta do siebie.

— Niechże pan wejdzie do mnie na chwilę, młody mój przeciwniku. Doktór tutejszy usiłuje mi wmówić, że zasadniczą częścią mej choroby są nerwy. Trzeba szukać rozrywek. Jakże powiodło się panu w Londynie?

— Doskonale — odparł Grant. — Lecz nie chciałbym leczyć pana morskiej choroby mojemi tajemnicami politycznemi.

Blunn uśmiechnął się blado.

— Bardzo miły człowiek z pana, nie mogę odżałować, że nie jest pan Niemcem. Zrobiłbym z pana wielkiego człowieka.

— A ja rad jestem, że nie należę do pańskiego narodu, najbardziej egoistycznej rasy świata.

Korneljusz Blunn milczał przez chwilę.

— Tak to wygląda w oczach opinji, zasadniczo jednakże jesteśmy narodem indywidualistów.

— Czemuż to pan jest zupełnie sam? — zapytał Grant po chwili.

— Skupiły się przykre wypadki. Müller, mój służący i sekretarz Feliks nie zdążyli na czas do Southampton. Obaj wykonywali dla mnie jakieś zlecenia w Londynie, w ostatniej chwili. Wysłałem ich już z Southampton autem, które uległo wypadkowi na powrotnej drodze i obydwaj odnieśli tak poważne uszkodzenia, że nie mogli kontynuować podróży. Steward okrętowy stara się jak może, lecz jestem przyzwyczajony do innej obsługi. Gdyby inny jeszcze okręt zdążył na konferencję, byłbym z powodu tych wypadków odłożył moją podróż.

Grant wyraził mu swe współczucie i odszedł. Spotkał na pokładzie lorda Yeovila, z którym kontynuował swą przechadzkę.

— Zdaje się, że Blunn na serjo zachorował — rzekł do premjera.

— Niestety ludzie nie umierają z morskiej choroby. To bardzo nieludzkie z mej strony, ale twierdzę, że gdyby opuścił ten świat, to byłoby dobrodziejstwem. Doszedłem w ostatnich dniach do wniosku, że on w obecnej polityce światowej jest duchem niepokoju i wojowniczości. On nietylko pilnuje dokumentu ojcowskiego, lecz jest reprezentantem jego idei zemsty i hegemonji Niemiec.

— Potrafi być tak czarujący i dobroduszny, a jednak to najniebezpieczniejszy dla Ameryki człowiek... Sądzę, że lady Zuzanna dobrze znosi podróż? Nie widziałem jej jeszcze.

— Gra w tej chwili w tennisa w hali, to niezbyt przyjemne w tym upale. Lutrecht i jego nieodłączny towarzysz, von Dirs grają w écarté w palarni. Czy pan wie o tem, że von Dirs należy do jego mafji.

— Nie miałem pojęcia o tem. Niemcy potrafią zachować swe sekrety. Mają swoiste metody.

— Przykro mi, ale będę musiał pożegnać pana, Slattery. Czeka na mnie Artur i cała masa zaległej jeszcze roboty.

Grant pozostał sam i wyciągnął się wygodnie na pobliskim leżaku. Myśli jego zaczęły wirować. Skupiły się dookoła ostatnich słów biednej Cleo, która musiała oddać życie zato, że przypadkowo znała tajniki polityki niemiecko - japońskiej. Niespokojnie snuł jakieś strzępki planów. Blunn sam, chory... obok niego, przy nim tajemnicza kasetka z dokumentami, posiadanie których w jednej chwili obezwładni politykę wrogów. Narzucała mu się pokusa, nie do odparcia...

W tej chwili przeszedł obok niego von Dirs, ubrany w flanelę, bez zarzutu, jak zwykle. Dotknął ramienia Granta. Był zawsze bardzo uprzejmy dla swego rywala, którego nienawidził z głębi duszy.

— Widziałem, jak pan rozmawiał z Blunnem. Biedny człowiek. Tak bardzo lubi morskie podróże, a jednak natychmiast zapada na zdrowiu.

— Czuł się już nieszczególnie, gdy jechał w pierwszą stronę.

— Nie jest jeszcze stary — mówił von Dirs na pół do siebie — jest bardzo silnej i zdrowej kompleksji, jednakże taka zwykła morska choroba zwaliła go kompletnie z nóg i wprowadziła w stan depresji. Zrobiłem mu dzisiaj rano jakąś niewinną propozycję, ale nie chciał mnie słuchać i odesłał z niczem.

Grant pomyślał w duchu, że chodziło o przechowanie szkatułki. Jakieś nagłe olśnienie.

— Mam nadzieję, że będzie mu jutro lepiej. Sądzę, że i pana małżonka dobrze się czuje?

— Jest trochę zmęczona, lecz nie cierpi na „mal de mer", jak biedny Blunn.

Pożegnał się i odszedł. Grant zaś zwrócił się w stronę pokładu z placem tennisowym. Usiadł i spoglądał na graczy. W tej chwili podeszła do ławki Zuzanna, lecz ujrzawszy Granta zrobiła ruch, jakby chciała się cofnąć. Grant podniósł się natychmiast.

— Niech pani pozwoli mi odejść — wyszeptał. — Przykro mi, że pani uważa moje towarzystwo za tak niewłaściwe.

Lecz Zuzanna uśmiechnęła się w zwykły swój sposób.

— Niechże pan nie będzie śmieszny, nie poznałam tylko pana w pierwszej chwili. Czy pan nie grywa w tego okrętowego tennisa?

— Czasami tak.

— Bardzo mi przykro, ale muszę już pana pożegnać. Pobiliśmy tu wszystkich z Karolem Suffolk, a teraz musimy dać rewanż. Dowidzenia panu.

Grant skłonił się na pożegnanie. Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę i odszedł. Mimowoli znalazł się znów przed oszklonym apartamentem Blunna. Zajrzał do wnętrza poprzez do połowy zasunięte firanki. Napoleon finansów i dyplomacji leżał blady na łóżku. Twarz jego była dziwnie skurczona. Miał ochotę wejść do środka. Zastukał, nie było odpowiedzi. Najwidoczniej spał. Grant przyjrzał się uważnie drzwiom i niepostrzeżenie wyjął klucz z zamku.

ROZDZIAŁ XLII.

Wieczorem, już po obiedzie, nie mógł Grant oprzeć się pokusie, by nie zajrzeć na pokład dancingowy. Było to najpiękniej położone na okręcie miejsce, przeznaczone w dzień na najróżnorodniejszego rodzaju gry, wieczorem zaś pokrywane specjalną podłogą do tańca. Chciał choć zdaleka popatrzeć na lady Zuzannę. Usiadł przy oknie i obserwował ją dyskretnie. Była jak zwykle otoczona rojem wielbicieli, lecz najwidoczniej nie odpowiadali jej partnerzy, gdyż każdy niemal taniec przerywała w środku. Grant zdecydował się, by ją poprosić. Miał przytem tremę początkującego salonowca.

— Czy można panią prosić, lady Zuzanno? — zapytał.

Spojrzała na niego, nie dając odpowiedzi. Była w tej chwili bardziej sobą niż kiedykolwiek. Wszystkie wrażenia malowały się na jej dziewczęcej twarzy.

— Tak mi przykro, panie Slattery, ale wie pan także mam dzisiaj dziwne ciężkie nogi. Widocznie za wiele grałam w tennisa. Czy nie wie pan, jak Blunn czuje się dzisiaj wieczorem?

— Nie słyszałem o nim nic od lunchu. Powiem pani, skoro tylko czegoś się dowiem.

Udał się na górny pokład. Był w beznadziejnej sytuacji. Nie mógł przecież wytłumaczyć się, nie mógł wyjaśnić tej młodej dziewcznie przyczyny plotek, krążących o nim i księżnie von Dirs. Nie wolno mu było dyskredytować księżny. Rzucił się w stojący fotel i zapalił fajkę, lecz nawet tytoń wydawał mu się niesmaczny. Przestał palić i zamknął oczy. Wsłuchiwał się w tony walca, w tę samą melodję, którą tak lubiła Zuzanna w Monte Carlo.

Tymczasem opuściła lady Yeovil miejsce dancingu i udała się na poszukiwanie ojca. Znalazła go, zatopionego w rozmowie z księciem von Dirs i jego małżonką. Stanęła i miała zamiar odejść, gdy Gertruda von Dirs zwróciła się w jej stronę.

— Lady Zuzanno, właśnie chciałam posłać po panią mego męża. Czy zostałaby pani ze mną przez chwilę?

Zuzanna spojrzała na ojca, który popatrzał na nią przyzwalająco.

— Zostań tu, Zuzanno. Książę von Dirs właśnie był łaskaw wyrazić gotowość odszukania cię, by ci zakomunikować, że będę z nim w palarni, gdzie chcemy zakończyć swą rozmowę.

Gertruda skierowała się z Zuzanną w w stronę opustoszałej części pokładu, gdzie stało kilka wygodnych foteli. Lady Zuzanna nie czuła się nigdy zbyt dobrze w jej towarzystwie. Ogarniało ją jakieś dziwnie krępujące uczucie, wobec tej pięknej i pewnej siebie kobiety.

— Rozumiem dobrze, lady Zuzanno — rzekła Gertruda, gdy usiadły w fotelach — że bardzo niechętnie pani ze mną rozmawia. Lecz w tym wypadku musi mnie pani wysłuchać. Mąż mój konferuje w tej chwili oficjalnie z pani ojcem, jestem więc w tej chwili kobietą ze wszech miar godną szacunku.

— Mam mało doświadczenia w kwestjach moralności lub czegoś podobnego. Zadawalam się zwykle własnym sądem.

Gertruda poprawiła się na krześle.

— Tak jest, pani jest bardzo młoda. Pani młodość stwarza niesprawiedliwość sądów. Pani jest bardzo zła na Granta Slattery, prawda?

— Co się tyczy pana Slattery i innych moich znajomych, to wybaczy pani, księżno, ale to moje osobiste sprawy, w które nie wolno się mieszać obcym — odparła Zuzanna ze spokojem.

— Nie ma pani w tym wypadku racji. Niech mnie pani zechce uważnie wysłuchać. Grant jest w bardzo ciężkiej sytuacji i gdyby nie był z nią związany pewien tragizm, nie wzięłabym na siebie obrzydliwej roli pośredniczki.

— Mam nadzieję, że nie uczyni mi pani jakichś zwierzeń. Nie życzę sobie tego.

— Niestety, tak i zapewniam panią, że będzie tak znacznie lepiej — mówiła spokojnie dalej Gertruda. — Nie wypada pani przecież teraz odejść, gdyż jestem znacznie starsza, a nie popełni pani przecież nietaktu. Sądzi pani prawdopodobnie, że gdy pan Slattery żegnał panią w Monte Carlo, wiedział o tem, że jedzie ze mną do Ameryki. Otóż, łaskawa pani, nie miał, biedaczek, nawet o tem najlżejszego pojęcia.

— Nie miał pojęcia? Ależ to niemożliwe — oburzyła się Zuzanna.

— A jednak tak było. Widzi pani, Grant Slattery zaczął mi się w Monte Carlo nanowo bardzo podobać i nie mogłam w żaden sposób uwierzyć, abym mu była zupełnie obojętna. Zwykła próżność, z powodu której wiele wycierpiałam. Wiedziałam dobrze, że gdy zaproponuję mu, aby zabrał mnie ze sobą — odmówi tak, jak to kilka dni przed wiadomemi pani wydarzeniami odmówił mej prośbie. Chciałam jednakże mimo wszystko z nim jechać i zaryzykowałam. Zakradłam się niespostrzeżenie na jego yacht. Nie miał o tem pojęcia i dowiedział się o tem dopiero w półtora dnia po odpłynięciu z Monte Carlo. Nie byłby się nawet dowiedział i wtedy, lecz osłabłam z głodu.

Zuzanna siedziała przez chwilę bez ruchu.

— To brzmi zgoła nieprawdopodobnie — wyszeptała.

— A jednak tak jest, lady Zuzanno. Kiedy zobaczył mnie, był poprostu przerażony. Nie zadawał sobie nawet wiele trudu, by ukryć przedemną, jak bardzo jest moja obecność niepożądana. Powziął nawet plan zatrzymania yachtu w Gibraltarze abym tam wysiadła. Oczywiście zdał sobie sprawę, że nie polepszyłoby to ani na jotę jego sytuacji i, że postąpiłby w tym wypadku jak brutal. Pozwolił mi więc zostać. Nie miał innego punktu wyjścia.

Nastała chwila milczenia. Gertruda udawała, że słucha muzyki. Nagle zaczęła nanowo:

— Oczywiście, że reszta historji jest idjotyczna nader upokarzająca. Czemu o tem pani mówię, rzeczywiście nie wiem. Byłam w nader głupiej sytuacji przez cały czas podróży, a Grant zachowywał się jak biblijny Józef, co również nie należy do przyjemności. Zrozumiałam, że jest w pani na serjo zakochany, lady Zuzanno. Po tem dopiero zrozumiałam, jak głupie było moje nieodwzajemniane uczucie. Jeżeli skrzywdziłam mego męża, to odpokutowałam to całkowicie podczas tych kilku dni, które upłynęły zanim mogłam w Newport opuścić statek Granta. Widywałam go wówczas bardzo krótko podczas obiadu lub lunchu, lub podczas krótkich rozmów na statku, gdy z wrodzonego taktu usiłował być dla mnie uprzejmy.

Zrobiłam najgłupszą rzecz, na jaką kobieta może się zdobyć. Usiłowałam odzyskać wygasłe uczucia mężczyzny, zakochanego w innej kobiecie. Nie widziałam Granta od chwili opuszczenia jego yachtu, aż do przypadkowego spotkania w drodze z Ameryki do Anglji. Chorowałam przez jakiś czas w małej miejscowości niedaleko New Hampshire i Grant nie miał nawet pojęcia, gdzie jestem. Sądzę, że mimo wszystko będzie pani teraz tak uprzejma i poprosi mego męża, aby przyszedł teraz tu do mnie i pomógł mi wstać.

Zuzanna podniosła się z miejsca. Było w jej wyrazie coś takiego, co ostrzegło Gertrudę.

— Moje drogie dziecko, jeżeli pani teraz wypowie to, co czytam w pani twarzy, doszłoby między nami do ostrej wymiany słów.

Zuzanna odeszła i poszukała księcia von Dirs. Po drodze spotkała kilku młodych ludzi, którzy usiłowali podejść do niej. Ominęła ich. Kiedy już wypełniła zlecenie księżnej, udała się w stronę górnego pokładu. O kilka kroków przed nią siedział wciąż Grant, zamyślony, patrząc ponuro na morze. Zbliżała się coraz bardziej w jego stronę. Usłyszał odgłos jej niepewnych kroków i odwrócił się. Nagle podniósł się z miejsca. Uśmiechała się do niego po dawnemu ze swoistym wyrazem oczu i ust.

(C. d. n.).



Zasłużony zespół Teatru Miejskiego w Łodzi pod kierownictwem K. Adwentowicza, przyjeżdża na występy do stolicy. — Filar trupy, Michał Znicz, zrealizował znakomitą rolę w popisowej sztuce zespołu p. t. „Cjankali".

Repertuar teatrów

WIELKI

dn. 19 b. m. „Sprzedana Narzeczona" lub „Złoty kogucik"
dn. 20 b. m. W Teatrze na wyspie w Łazienkach — Balety
dn. 21 b. m. „Konrad Wallenrod"
dn. 22 b. m. „Halka"
dn. 23 b. m. przedstawienie zawieszone
dn. 24 b. m. „Ijola"
dn. 25 b. m. „Faust" z „Nocą Walpurgij"
dn. 26 b. m. „Święto Ognia"
dn. 27 b. m. „Łucja z Lamermooru"

NARODOWY

codziennie „Zły szeląg" B. Winawera

LETNI

codzienie „Wysoka Stawka" W. Rapackiego

POLSKI

codziennie „Artyści" z M. Modzelewską i S. Jaraczem

MAŁY

codziennie „Papa" Caillaveta i de Flersa

ATENEUM

codziennie „Władza się myli"

QUI - PRO - QUO

codziennie redja p. t. „Budżet Wiosenny"

MORSKIE OKO

codziennie rewja p. t. „Codziennie Dancing"

WESOŁY WIECZÓR

codziennie rewja p. t. „Czy Pani lubi bez"

ANANAS

codziennie rewja p. t. „Coś w trawie piszczy"

COLOSSEUM (Mała sala)

codziennie „Pomajowa szopka polityczna".

Konkurs na scenarjusz

Wytwórnia *„As-film"* ogłasza *konkurs* na scenarjusz polski.

Temat — dramat współczesny o fabule wybitnie zajmującej, ale potraktowanej artystycznie i z umiarem.

Akcja rozgrywać się winna w środowisku wielkomiejskiem, z wykorzystaniem motywów plenerowych.

Temat filmu powinien nosić charakter taki, aby mógł być interesujący i dla zagranicy.

Scenarjusz może posiadać albo jedną główną rolę (męską lub kobiecą), albo też dwie równorzędne. Nadto 2 — 3 dobrze postawione role drugorzędne i szereg epizodów.

Nagrody: pierwsza — 500 zł., druga — 300 zł., trzecia — 200 zł.

Termin nadsyłania prac do 25 lipca b. r. Forma zwykła — zewnętrzna koperta z godłem, wewnątrz w kopercie nazwisko autora. Nadsyłać do biura „As-film", Warszawa, Jerozolimska 21.

Wytwórnia „As-film" zastrzega sobie prawo pierwszeństwa przy nabyciu nagrodzonych scenarjuszy.

Skład sądu konkursowego ogłoszony będzie później.

Uwaga: Pożądane jest oparcie scenarjusza na którejś z drukowanych powieści polskich.



— O widzi pan! Z pańskiego scyzoryka zrobił się złoty zegarek! A teraz mogę go znów zamienić na scyzoryk!
— Panie! Panie! Niech go pan już nie zmienia.



Przed 5000 laty, w okresie kamienia ciosanego uczeń niosący wypracowania szkolne musiał być nielada atletą...



— Co się stało kochanej Pani!?
— Ach! ledwo uratowałam życie z pod Punktrollera.

J. NEVER.

Na falach eteru

Zaczęło się od niesamowitego koncertu aparatów profesora Theremina.

Dwie skrzynki elektryczne, dwaj ludzie przed skrzynkami, ludzie, przebierający palcami w powietrzu, a z podjum — dźwięki przedziwne: skrzypce, — altówka, — wiolonczela, — gitara hawajska — saksofon...

Utonąłem w dźwiękach, utonąłem w wizji przyszłości, i tak powstała owa teorja historjozoficzna.

Ni mniej, ni więcej, tylko nowa teorja powstania bogów.

Płyniemy na falach eteru...

Cichy żal za straconem życiem.

Okropny nonsens, że urodziłem się teraz, a nie za lat sto, i że trzeba będzie wkońcu umrzeć.

To tylko przypadek, że urodziłem się teraz, ale ten przypadek zadecydował, że muszę umrzeć.

Bo przecież jest rzeczą niewątpliwą, że w tem tempie zdobyczy naukowych, w tym postępie geometrycznym wynalazków, nadejdzie wkrótce: za lat 50 — 100 — 200 moment, kiedy śmierć „naturalna", śmierć ze starości stanie się złem, któremu zapobiec można, jak zapobiega się teraz ospie, kiedy zapomocą odpowiednich preparatów pobudzać się będzie niepłodne komórki do dalszej niezmordowanej twórczości, w zamierające organy wprowadzać się będzie nowe życie, a narządy zużyte — zastępować świeżemi, kiedy śmierć — przerwanie ostateczne życia — nastąpi tylko w razie doszczętnego — w sensie mechanicznym — zniszczenia, rozbicia, czy zmiażdżenia organizmu.

Więc, gdybym się urodził za lat 100—200—300 — żyłbym wiecznie: śmierć byłaby czemś nie do wiary, byłaby straszakiem potwornym ówczesnych romantyków.

Płyniemy na falach eteru...

Żyjemy wiecznie....

Czemże różnimy się od bogów, i czem bogowie starożytni różnili się od nas?

Niema czasu i niema przestrzeni.

Czas liczymy na lata. Lata liczymy od urodzenia do śmierci — inny podział nas nie obchodzi — a przecież śmierci niema, więc niema i czasu.....

I niema przestrzeni: przynajmniej na powierzchni naszego globu.

Osiągnęliśmy najwyższą szybkość — szybkość światła: cała ziemia jest nie większa od kilkunastu metrów kwadratowych naszego spółczesnego pokoju — znikły więc ramy, warunkujące ograniczoność człowieka: wymiary czasu i przestrzeni.

Płyniemy na falach eteru...

I teraz wizja Londona: kataklizm, katastrofa, zagłada cywilizacji. Ludzkość ginie, giną zdobycze wiedzy i cywilizacji, ginie potęga człowieka.

Na całym globie pozostaje tylko garstka ludzi, samotnych, rozrzuconych po rozmaitych częściach świata, pozbawionych kontaktu z potęgą nauki — ludzi, którzy różnią się od dzikusów tylko wspomnieniami boskiej przeszłości.

Ludzie ci, bezbronni wobec śmierci, giną tak zwaną „śmiercią naturalną": taką samą, jak ginęli przodkowie ich w wieku XX.

Rodzi się nowe pokolenie: cywilizacja pierwotna, topór kamienny...

Z pokolenia na pokolenie przechodzi mit o złotym wieku ludzkości, o ludziach dawnych, potężnych, żyjących wiecznie: bogach, o nieograniczonych możliwościach.

Bogach... i tu — powstanie religji.

Zaczyna się wszystko da capo.

Stopniowo nawarstwia się cywilizacja: ludy pierwotne, cywilizacje nadrzeczne i nadmorskie, nowy Egipt, Babilonja, Assyrja...

I wreszcie nowa Hellada. Nowy mit o Olimpie. O bogach—ludziach.

Znów od początku...

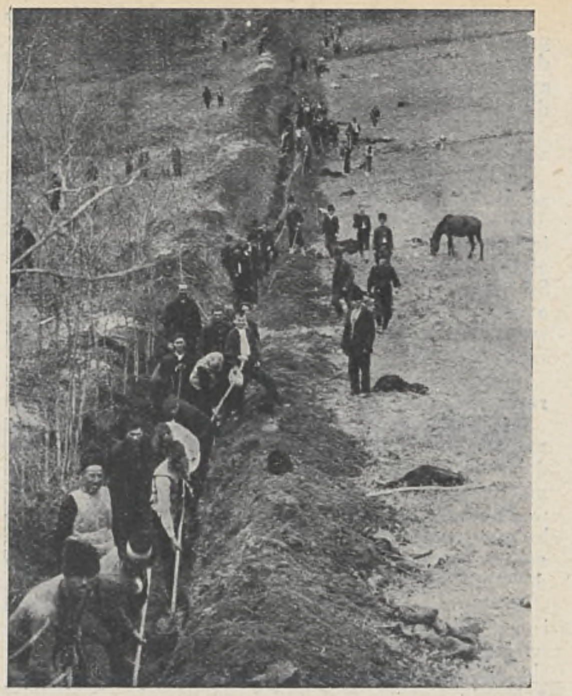
Reasumuję: Bogowie starożytności, bogowie starożytnej Hellady powstali nie jako projekcja wyobraźni ludów, rzutujących niezrozumiałe dla siebie przejawy sił natury na Olimp — ale jako daleki refleks ustnej tradycji, przechodzącej z pokolenia na pokolenie, o dawnych, potężnych ludziach, żyjących wiecznie, ludziach, wyposażonych w moc niepojętą, moc, która płynęła z nieograniczonych możliwości nauki, — moc, którą jedynie jako nadprzyrodzoną, boską, umysły pierwotne wytłumaczyć sobie mogły.

Więc przed dziesiątkami tysięcy lat istniała już cywilizacja, potężniejsza od naszej; straszliwy kataklizm, dotąd niewytłumaczony, cywilizację tę zniszczył; wspomnienia o tym wieku złotym realizują się w postaci mitów o bogach starożytnych, i tu wytłumaczenie powstawania religji...

Płyniemy na falach eteru...

Przecieram oczy... Cóżem napisał?

Wszystkiemu winne te aparaty profesora Theremina...



Ludność Rumunji dotknięta plagą szarańczy, kopie szerokie i głębokie rowy, celem powstrzymania pochodu szkodników.

Szarańcza

Szarańcza pojawiła się już w Europie, niszcząc żyzne pola i winnice Rumunji. Dociera nawet do Siedmiogrodu. Pisma ilustrowane przepełnione są zdjęciami zniszczonych pól, stosami zabitej szarańczy oraz walki z nią, np. kopaniem rowów, wzniecaniem wielkich ognisk i t. p.

Klęska nalotu szarańczy nie jest dla nas nowością. Warto sobie przypomnieć, że stosunkowo niedawno, bo w r. 1927 wielkie masy szarańczy pojawiły się na południu Rosji, wyrządzając poważne szkody. Również i w roku 1921 można tam było zauważyć gromadne pojawianie się tego owadu. Powtarza się to zazwyczaj co sześć lat.

Dobremi środkami zaradczemi są obecnie samoloty, zaopatrzone w odpowiednie środki chemiczne. Można również stosować i naftę, rozpylając mniejwięcej 160 kg. na przestrzeni 1 hektaru.

I w ubiegłych stuleciach nawiedzała ta „plaga egipska" Europę. Tak np. w 1693 r. szarańcza spustoszyła Śląsk, Saksonję i Turyngję, czego dowodem jest medal pamiątkowy z wizerunkiem tego miłego stworzonka, wybity przez trzy miasta: Wrocław, Drezno i Gotę. Prócz tego wypuszczono dukaty z ciekawym napisem okolicznościowym: „Myśl o straszliwych zastępach szarańczy i strzeż się, aby cię Boży Gniew nie pochłonął".

W bibljotekach niemieckich znajdujemy sporo broszurek z tych czasów, w których rozprawia się o szarańczy z punktu widzenia nie tyle przyrodniczego, ile historycznego, a przedewszystkiem teologicznego.

Miejmy jednak nadzieję, że tegoroczna klęska nie dotrze do granic Polski i nie wyrządzi nam żadnej szkody.

Dr. E. S.

Czy wiecie że...?

...największe bogactwo lasów posiada w Europie Rosja Sowiecka, która wraz z Ukrainą i Kaukazem ma 153,3 milj. hektarów lasu. Za nią idzie Szwecja ze swemi 23,2 milj. hektarów, Finlandja — z 21,4, Niemcy z 12,4 milj. hektarów. Następnie idą w kolejności: Francja, Polska, Rumunja i t. d. Na ostatniem miejscu stoi Grecja, która posiada około 600.000 hektarów lasu.

Jeżeli brać pod uwagę, jaki procent całego obszaru kraju wynosi las, to na pierwszem miejscu stoi Finlandja, która w 57% swej powierzchni pokryta jest lasem, Szwecja — w 47,7 procent., Austrja w 32,6 procent, Niemcy w 26,3 procent, Francja i Polska w 18 procentach, Włochy w 14 procentach, Hiszpanja w 9,9 procentach, Anglja zaś wraz z Irlandją ledwie w 4 procentach pokryta jest lasem.

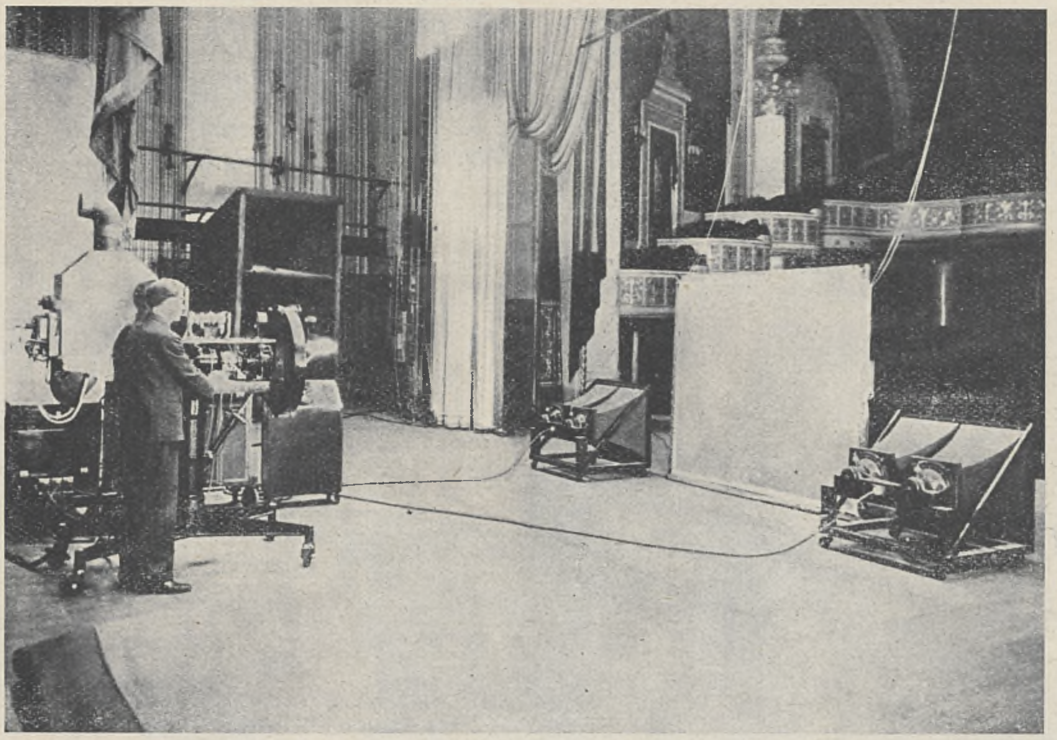
*

...co trzydziesty człowiek jest mańkutem, co pięćdziesiąty — daltonistą.

*

...32 gęsi dostarczają wszystkiego jedno kilo pierzy.

TO, TAMTO I OWO



Dr. E. F. W. Alexanderson, przy pomocy skonstruowanego przez siebie aparatu telewizyjnego wyświetla na ekranie, umieszczonym w swej pracowni, akcję sztuki, granej w teatrze Schenectady.

OLBRZYMIE MOŻLIWOŚCI.

Stwierdzamy niezbitą prawdę: jednym z najważniejszych pokarmów jest cukier. Kilogram cukru zastępuje dwa i pół kg. wołowiny, 72 sztuk jaj, cztery i pół kg. ziemniaków, siedem i pół litra mleka i dziewięć kg. marchwi.

Mniej się zastanawiamy nad tem, że jest on jednym z najtańszych środków spożywczych. Ilość wartości odżywczych, jaką mamy w kg. cukru za 1 zł. 44 gr. otrzymujemy z 1,3 kg. fasoli za 1.56 gr. z 7,6 litrów mleka za 3.19 gr. Te same wartości w maśle kosztują przeszło 4 złote, w mięsie 8 złotych, a w 72 jajach nawet 28 złotych.

Wiemy to, ale wniosków stąd nie wyciągamy i spożycie w Polsce cukru jest jedno z najniższych na świecie. Rocznie na głowę ludności wypada u nas zaledwie 11,5 kg. cukru, gdy już w Gdańsku 20, w Niemczech 24, w Anglji 48, w Danji 54, a w Stanach Zjednoczonych 55 kg. na głowę rocznie wypada.

A teraz pozwólmy sobie na małą „fantazję".

W tej chwili produkujemy około 670 tys. tonn cukru. Z tego spożywamy sami 347 tys. tonn — resztę zaś wywozimy zagranicę. Nadmienić należy, że wytwarzanie cukru podlega pewnemu ograniczeniu i, idąc pełną parą, cukrownie nasze mogłyby wypuścić go o wiele więcej. Dziś z powodu ciasnoty na rynku wewnętrznym musimy cukier wywozić i sprzedawać nawet z pewną stratą.

Otóż, jeżeli podniesiemy spożycie cukru tylko do poziomu, jaki mamy w Gdańsku — spożycie wewnętrzne pochłonie wszystko, co wytwarzamy. Jeżeli podniesiemy do normy niemieckiej, to będziemy mogli podnieść własną wytwórczość, jeżeli do angielskiej — możemy własną wytwórczość podwoić. Będziemy mogli na plantacje buraczane oddać pół miljona hektarów ziemi, czyli podnieść poprostu w niesłychany sposób jej kulturę, obniżyć do połowy akcyzę z cukru, czyli uczynić ten produkt bezwzględniej najtańszym środkiem odżywczym.

Jeżeli zważymy nadto, że przez to powiększymy zużycie węgla o 500 tys. tonn rocznie, kamienia wapiennego o 250 tys. tonn, wartość nawozów sztucznych do plantacji buraczanych o 50 miljonów złotych — to zrozumiemy, że racjonalne postawienie spożycia cukru jest jednym z najpewniejszych środków na bezrobocie — na zapobieżenie kryzysom wewnętrznym.

I jeszcze jedno.

Cukier jest artykułem, którego spożycie można obliczyć dość dokładnie — dlatego obrót nim jest unormowany. To wytwarza możliwość doskonale zorganizowanego kredytu. I tak, jeżeli zboże człowiek może sprzedać tylko po zbiorach—to w dziedzinie buraczanej, nie tylko niepotrzeba wydawać pieniędzy na nasiona, gdyż dostarcza ich sama cukrownia, ale już na wiosnę posiadacz plantacji może otrzymać i otrzymuje dość znaczne zaliczki w gotówce. Plantacje zatem buraczane przyczyniają się znakomicie do nasycenia wsi pieniądzem i to w najcięższym czasie, bo na wiosnę.

Oto szkic „fantazji" na temat przyszłości—„fantazji" najzupełniej możliwej do urzeczywistnienia. Chodzi tylko o to, byśmy świadomość potrzeby podniesienia konsumcji cukru szerzyli niezmordowanie w domu i w szkole i na każdem miejscu.

Wśród książek

Eric Mjöberg. — Borneo. — W krainie łowców głów. — Przekład K. Cz. — 1930. — Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. Str. 170+2 ulb.

Zajmująca ta książka cieszy się wszędzie zasłużonem powodzeniem. W Anglji, w Niemczech, w Jugosławji i wszędzie, gdzie się w tłomaczeniach ukazała, budzi szczery poklask i szczere pochwały. I rzeczywiście na nie zasługuje. Autor jej, dr. Eric MJöberg, znany podróżnik i uczony szwedzki, współpracuje z całym szeregiem towarzystw naukowych dla badań tropikalnych, a za cel swych wędrówek wybrał sobie Indje, Jawę, Borneo i Australję.

„Borneo", nazwane przez autora krainą łowców głów, napisane jest nietylko żywo i zajmująco, ale i barwnie, a zarazem z niezwykłą prostotą. Rzeczy i sprawy, które się zazwyczaj nazywa odstraszającą nazwą nauki, są tu podane lekko i zręcznie, tak, że czytelnik uczy się bez trudu, a pobudzona jego ciekawość mimowoli pożąda dalszych wiadomości. Nie należy się przeto dziwić powodzeniu tej książki, — a że jest bardzo pouczająca i przez to także bardzo pożyteczna — należy życzyć, aby i u nas zdobyła jak największe powodzenie.

Ożywienie suchej i więdnącej cery

W poprzednich artykulikach naszkicowałem nowoczesne metody racjonalnego pielęgnowania tłustej oraz prawidłowej cery, dziś poświęcę słów parę metodom ożywiania suchej, tudzież więdnącej cery. Przypominam me ostrzeżenie przed posługiwaniem się wszelkim kremem w wypadku tłustej cery, dla której poleciłem przeobrażenie jej w prawidłową, przy pomocy częstych spłukiwań twarzy gorącą wodą, bez ochładzania zimną, mycia wyłącznie *proszkiem marmurowym „Miraculum"* i pudrowania odtłuszczającym pudrem *higjenicznym* D-ra Lustra. Sucha zaś i wiotczejąca cera wymagają właśnie zasilania ich ożywczemi składnikami *kremu „Oxa"* D-ra Lustra, przy pomocy jaknajczęstszego i intensywnego działania ciepła. Powleka się przeto rano twarz kremem „Oxa", a po 10 minutach spłókuje się ją długo gorącą wodą, poczem myje się prawdziwemi *otrąbkami migdałowemi D-ra Lustra.* Wieczorem napara się natłuszczoną twarz kremem „Oxa" przez 5 minut nad parą, poczem spłókuje się gorącą wodą. Z pudrów nadaje się dla omawianych właściwości cery jedynie puder *egzotyczny* D-ra Lustra.

Dr. Z. B.

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ JERZY RADLICZ

MARYLA SITKÓWNA.

Szkoda kwiatów

Czemu me kwiaty powiędły w wazonie,
Choć wczoraj były jeszcze takie świeże?
I nikt nie wiedział o ich cichym skonie,
I nikt nie szepnął przed śmiercią pacierzy.

Opadły płatki pożółkłe i zmięte,
A wczoraj były jak królewne młode,
Czemu umarły, takie białe, święte
Taką wspaniałą straciły urodę?

Niedawno przecież w klombie je zrywałam,
Do ust je niosłam, piłam nektar wonny,
Tuliłam kwiaty, tak je całowałam
Nie wiedząc nawet, że to dzień przedzgonny.

Sterczą badyle bez koron sczerniałe,
A wczoraj takie pyszne miały kwiaty
Urokiem tchnące, jak rusałki białe
Wkrąg roznosiły słodkie aromaty.

A dziś?... Garść śmiecia po nich pozostała
Wyrzucić przyjdzie, choć tak boli serce,
Czemum je z klombu, czemum je wyrwała,
Gdy, jak zjawisko, zdobiły kobierce.



(fot. Photoplat.)

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35.
Telefony 525-85 i 99-03. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.